

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV. Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 470.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.

Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy. — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok IX. Kraków, 7 grudnia 1912. Nr. 49.

Wojna czy pokój?

(Treść na str. 2).



Nr. 49 „Nowości Illustrowanych“ zawiera: Przeciw wywłaszczeniu. — Śląscy posłowie w Kole polskiem. — Dla hygieny ludu. — Pod powłoką lawy. — Kamienne miasto. — 25-lecie „Małego Światka“. — Zgon ruskiego kompozytora.

Z wojny na Bałkanach.

Wojna czy pokój?

(Do illustracyi tytułowej).

Na terenie zapasów wojennych nastał chwilowo spokój. Działa grzmią jedynie pod Adryanopolem i Skutari, na głównej zaś linii bojowej pod Czataldżą od kilku dni stoją naprzeciw siebie armie nieprzyjacielskie i czekają... Wodzowie obu armii zjechali się na narady, aby rozpocząć rokowania o zawieszenie broni, a w dalszem następstwie także o pokój. Ze strony tureckiej głównym pełnomocnikiem do rokowań naznaczono naczelnego wodza Nazima baszę, oraz radcę stanu Szadama beja, zaś po stronie bułgarskiej przewodniczy obradom główny dowódca gen. Sawow.

Narady odbywają się w wagonie kolejowym koło Bakcziköj na gruncie neutralnym w pobliżu Buluk Czekmedże.

Po kilkodniowej bitwie na linii Czataldży, w której ataki bułgarskie zostały odparte, Turcya pierwsza za pośrednictwem prezesa ministrów Kiamila baszy wystąpiła z propozycyą podjęcia rokowań pokojowych. Najpierw przyjęła propozycyę Bułgarya, a następnie inne państwa Związku bałkańskiego.

Pierwotne jednak warunki, podyktowane przez państwa bałkańskie, były tak twarde, że Turcya je a limine odrzuciła. Rozpoczęły się więc negocyacye. Na pierwszy plan wysunięto sprawę 14 dniowego zawieszenia broni, na czas rokowań pokojowych. Układy w tym kierunku znacznie postąpiły naprzód, tak iż lada dzień można spodziewać się podpisania przez strony wojujące odnośnego układu. W myśl ułożonych punktacyi wojska walczące mają pozostać w swych pozycyach, Turcya ma wstrzymać transport wojsk z Azyi, a oblężone miasta Adryanopol i Skutari mają otrzymywać żywność codziennie na jeden dzień.

Podczas tych rokowań omawiane są także warunki pokoju. Turcya godzi się na to, aby Bułgaryi oddać Tracyę z linią graniczną od Midij do Deagacz z tem jednak, że Adryanopol pozostanie w rękach tureckich. Grecya ma otrzymać Epir, Serbia Starą Serbię i Sandżak nowobazarski. Macedonia oraz Albania otrzymają autonomię, z tem jednak, że część Albanii przypadnie Czarnogórze.



Wojna czy pokój?: Narada bułgarskich ministrów nad warunkami pokoju.



Śląscy posłowie w Kole polskiem: Poseł ks. Józef Londzin.



Z wojny na Bałkanach: W obozie wojsk bułgarskich, oblegających Adryanopol.

Państwa związkowe domagają się jednak kapitulacyi zarówno Adryanopola, jak i Skutari, na co Turcya nie chce przystać. Rokowania są w pełnym toku i najbliższe dni rozstrzygną o tem, czy na Bałkanie zapanuje wreszcie pokój, czy też wojna



Śląscy posłowie w Kole polskiem: Pos. dr. Michejda.



Dwudziestopięciolecie „Małego Światka“: Czytelnicy i czytelniczki „Małego Światka“, biorący udział w uroczystym obchodzie, z redaktorką-jubilatką, p. Anną Lewicką w pośrodku. (Fot. M. Münz, Lwów).

w dalszym ciągu szerzyć będzie swe straszne spustoszenie.

Tytułowa nasza illustracya przedstawia chwilę pierwszego spotkania się pełnomocników pokojowych pod Bakcziköj, druga illustryacya przedstawia radą gabinetową bułgarską, obradującą nad warunkami pokoju.

Śląscy posłowie w Kole polskiem.

Wiadomo, że ostatnie wybory do Rady państwa wypadły na Śląsku austryackim pomyślnie dla sprawy polskiej, bo ludność polska wybrała dwóch posłów swoich, mianowicie ks. Londzina i dra Michejdę, podczas gdy w poprzedniej kadencyi posłem polskim był tylko ks. Londzin.

Zwycięstwo to jest tem cenniejsze, im większy był nacisk ze strony rządu, sfer kapitalistycznych i stronnictwa renegatów śląskich, cieszącego się przemożnym wpływem Komory arcyks. Z ubolewaniem podnieść należy, że chociaż posłowie polscy ze Śląska od r. 1873 należeli zawsze do Koła polskiego, stronnictwa rządowego, to jednak z faktem tym rząd mało się liczył i pozwalał Niemcom rządzić w kraju, jak gdyby tam wcale ludności polskiej nie było, a przecież na $^1/_2$ miliona ludności śląskiej jest przeszło 300 000 Polaków (63%).

Prześladowanie żywiołu polskiego doszło w ostatnich latach do takich rozmiarów, że nowo wybrani posłowie śląscy poważnie zastanowić się musieli nad pytaniem, czy wogóle można jeszcze służyć rządowi, który nie chce niczego uczynić, żeby zapewnić Polakom śląskim swobodny rozwój narodowy, ekonomiczny i społeczny.

Zasiągnęli w tej ważnej sprawie zdania mężów zaufania, którzy na zjeździe odbytym dnia 5 lipca 1911 r. w Cieszynie uchwalili jednomyślnie następującą rezolucyę:

„Wzywa się posłów narodowych ze Śląska, ażeby ze względu na wrogie stanowisko, jakie rząd zajmuje wobec żądań i potrzeb ludności polskiej na Śląsku, nie popierali go dopóty, dopóki system ten nie będzie zmieniony.

Uprasza się uprzejmie Koło polskie o interwencyę u czynników miarodajnych, by krzywdy, wyrządzone ludności polskiej na Śląsku, usunięte zostały i aby przyznano jej te same prawa, jakiemi się cieszy ludność niemiecka“.

Następstwem tej rezolucyi było niewstąpienie posłów polskich ze Śląska do Koła polskiego.

Był to krok, który miał zaprotestować przeciw lekceważeniu przez rząd słusznych postulatów ludności polskiej Śląska, wydanej na łup germanizacyi i ucisk ze strony popieranych przez rząd Niem-



Z wojny na Bałkanach: Przedstawiciele obcych mocarstw, wojskowi *attachés*, na pozycyi pod Czataldżą.



Z wojny na Bałkanach: Skazany na śmierć szpieg turecki dopełnia religijnego aktu obmywania rąk przed ostatnią modlitwą.



Z wojny na Bałkanach: Szpiedzy tureccy, powieszeni na drzewie przez wojska bułgarskie.



Z wojny na Bałkanach: Zwłoki zmarłych na cholerę w obozie tureckim pod Czataldżą.

ców — ucisk dochodzący do rozmiarów, nieznanych w innych krajach koronnych Austryi.

Obecnie jednakże wobec niepewnej sytuacyi międzynarodowej i potrzeby skonsolidowania sił polskich posłowie polscy ze Śląska wstąpili znowu do Koła polskiego. Fakt ten, świadczący o solidarności narodowej, należy niewątpliwie powitać z uznaniem, bo nie ulega wątpliwości, że Koło polskie w Wiedniu nie omieszka wytężyć wszystkich swych usiłowań w tym kierunku, aby wreszcie zmusić miarodajne czynniki do spełnienia słusznych żądań ludności polskiej na Śląsku. Wymaga bowiem tego nie tylko poczucie sprawiedliwości, ale i poszanowanie prawa, tak gwałconego przez śląskich hakatystów.

Dwudziestopięciolecie „Małego Swiatka".

Piękna a niezwykła uroczystość odbyła się w tych dniach we Lwowie. Był to jubileusz „Małego Swiatka" — obchód dwudziestopięciolecia prac i zasług tak pisma, jak i jego naczelnej redaktorki, p. Anny Lewickiej. W uroczystości tej, która odbyła się w sali „Sokoła", wzięli udział zarówno dawni czytelnicy i czytelniczki „Małego Swiatka", jak i liczne rzesze dziatwy. To też sala „Sokoła" przemieniła się w jakąś olbrzymią izbę dziecięcą, wypełnioną rozgwarem cieniutkich szczebioczących głosików i mnóstwem roziskrzonych ocząt.

Program uroczystości był bardzo obfity i dostosowany do wieku młodocianych słuchaczy i słuchaczek.

Po odśpiewaniu przez chór seminarzystek pięknej kantaty Niewiadomskiego p. t. „Głos radości", odegrano obrazek sceniczny St. Rossowskiego p. t. „Mały Swiatek", w którym wystąpili dawni i obecni czytelnicy pisemka.

Punktem kulminacyjnym obchodu było odegranie z udziałem dziatwy obrazka scenicznego p. t. „Jubileusz", napisanego przez p. Maryę Majchrowiczównę, dawną czytelniczkę „Małego Swiatka". Obrazek ten porwał wprost widzów, a zwłaszcza odsłona 2 ga, przedstawiająca salę szkolną, zapełnioną dziećmi z różnych stron Polski.

Podniosła i owiana tak serdecznym nastrojem uroczystość zakończyła się wspólną fotografią jubilatki-redaktorki p. Anny Lewickiej z dziatwą, biorącą udział w przedstawieniu jubileuszowem.



Kamienne miasto: Jedna z dzielnic wykutego w skałach miasta Nalout w Trypolitanii.

WALERY PRZYBOROWSKI.

CIEŃ.

(Powieść z przed stu lat).

13

— Widmo? zaraz... to tak było, niech Pan Jezus broni! Kiedy jaśnie pan na tę wojaczkę do pana Kościuszka pojechał, w zamku ostały jeno same baby i dziewki, a odjeżdżając, przykazał podstarościemu nieboszczykowi, aby sprowadził mularzy i tę część zamku, kędy są kuchnie, garderoby i izby czeladne, pobielił, bo stra znie w nich ściany były odrapane. Jaśnie pan zawdy wszelakie reperacye kazał robić czasu swej nieobecności, bo okrutnie tego nie lubił... taką już ma naturę. Co robiący, nieboszczyk podstarości zwcłał mularzy i rujnacyja była na dole wielka, wszędzie jeno...

— Ale cóż to widmo?

— Widmo... ano cóż? Kiedy na dole była ta rujnacya, to ja z dziewką, co jej Magda było na imię, przeniosłam się na spanie, tutaj na górę, do komnaty, w której zawdy stawa ksiądz Opat Swiętokrzyski, ilekroć na św. Michał, na imieniny jaśnie pana zjeżdża do zamku; pokój ten jest tam, w prawem skrzydle zamku, panniusia wie?

— Wiem, wiem.

— Otóż to. Co robiący, wtedy jeszcze byłam młodsza i śmigła i nożyska mię nie bolały jak teraz i po schodach to tak, jak fryga, latałam i nijakiej mi też trudności nie robiło wdrapywanie się na górę, nie tak jak teraz, co mam nożyska popuchnięte jak banie z przeproszeniem. Pewno to Pan Jezus tak mnie pokarał na starość za moje grzechy

— Niechno Gruszkowska mówi o widmie.

— Przecie mówię. To było tak... akuratnie w sam dzień św. Julii. Było już kole godziny dwunastej, kiedym szła z Magdą spać, bo nim się obrządziłam ze wszystkiem, nim obejrzałam, czy drzwi zamknięte, czy służba śpi, to i czas upływał do północka. Kiedyśmy weszły na korytarz z Magdą, która świecę niosła, księżyc pięknie świecił i przez okna jasne promienie padały, nagle jakiś wiatr zimny na nas powiał, choć to był maj i cały dzień słońce dopiekało, a wszystkie okna w korytarzu były zamknięte. Jak dziś, proszę panniunci, pamiętam, że ten wiatr był taki zimny, że mię dreszcz przejął i ręce mi odrazu skostniały, jakby to był mróz trzaskący, a Magda zawołała: „o laboga, jak tu zimno!" Nic nie łgam, wszystko prawda, mówię jak na świętej spowiedzi...

— Wierzę, wierzę... Niech Gruszkowska mówi dalej.

— Kiedy tedy Magda zawołała: „o laboga, jak tu zimno!" zara potem za nami rozległ się jęk taki straszny, jakby kogo zarzynano, albo duszono, a kiedyśmy się z Magdą obejrzały, to widziałyśmy wyraźnie, tak jak panniusię widzę, marę, całą w bieli, ni to kobieta, ni Bóg jeden wie, co takiego, bo była taka przejrzysta, że przez nią dostrzegałam ławę, co stała podle ściany i jeszcze tam stoi. Był to cień, widmo, obłok jakiś, nie szło, ale płynęło i jęczało żałośnie. Jezus, Marya, Józefie święty! zmartwiałam cała, włosy mi się na głowie podniosły, nogi mi tak skostniały, żem się ruszyć nie mogła i myślałam, że to już moja śmierć nadchodzi. Magda upuściła świecę i ze strasznym krzykiem zaczęła uciekać na schody. Aż dudniały pod nią, bo była dziewka gruba i ciężka jak kafar. Już nie wiem, jak się to stało, ale i ja skoczyłam za nią i takeśmy obie znalazły się na dole i tam w sieni resztę nocy przepędziłyśmy w okropnym strachu.

Poczęłam się dopytywać Gruszkowskiej, do głębi wstrząśnięta tem opowiadaniem, jak to jęczące widmo wyglądało, ale nic więcej nie umiała mi powiedzieć nad to, że była to kobieta, ale na czem ta kobiecość polegała, nie była w stanie określić. Takie miała wrażenie, takie przekonanie, nic więcej. Wreszcie tak zakończyła swe opowiadanie:

— Cóż panniusia powie, w trzy dni potem przyjechał do zamku strzelec Marcinek, plejzerowany w rękę i głowę i powiedział, że tego dnia a raczej nocy, w której ja z Magdą ujrzałyśmy na korytarzu zamkowym białą marę, jaśnie pan został napadnięty przez Niemców, gdzieś tam kole Włoszczowy, ciężko poraniony i dostał się do niewoli. Com ja się naprzeklinała tych pludrów, toby tego na wołowej skórze nie spisał.

— Cóż to byli za Niemcy, cesarscy?

— Gdzie zaś cesarscy, to były te chycle Prusaki.

— Skądże znowu Prusaki?

— A tak, bo i oni wojowali z panem Kościuszkiem, przeklęte heretyki. No, ale jaśnie dziedzic, chwała Panu Jezusowi, wyzdrowiał i do nas wrócił, choć chorzał długo. Tedy ta mara dała mi znać o nieszczęściu, jakie spotkało ród panów Dziadusk ch. Niezbadane są wyroki Boskie.

Wszystko to było bardzo zadziwiające, a choć wychowana we Francyi, przekonana byłam, że żadnych duchów niema na świecie i kto raz umrze, więcej się nie pojawia, jednakże nie mogłam niewierzyć opowiadaniu Gruszki, taka szczerość biła z jej słów, twarzy, ruchów. Chcąc lepiej wybadać staruszkę, zapytałam:

— Czy nikt więcej prócz Gruszkowskiej i Magdy nie widział tego widma?

— Wtedy nikt więcej, bo dziewki dworskie spały na dole i w oficynie.

— Więc tylko jeden raz to widmo się pojawiło? i Gruszkowska go drugi raz nie widziała?

— Właśnie, że widziałam drugi raz i to nie sama, bo razem z jaśnie panem.

— Z dziaduniem?

— Tak, panniusiu, z jaśnie panem.

— Jakże to było i kiedy? Niech Gruszkowska opowie.

— To było w kilka lat potem, ale już roku nie pamiętam... wtedy, kiedy to ś. p. ojciec panniusi, jaśnie pan pułkownik, zabity został gdzieś tam w murzyńskich krajach...

— Wielki Boże! — zawołałam — mój ojciec?

— Tak panniunciu, pan pułkownik.

Silne wzruszenie owładnęło mną. Mój biedny ojciec, wysłany przez cesarza Napoleona na wyspę San-Domingo, zginął tam w jakiejś utarczce w maju 1802 r. Byłam wtedy dzieckiem dziesięcioletniem i nie bardzo odczuwałam tę stratę, ale dziś przypomnienie mi jej przez starą klucznicę, w połączeniu z historyą tajemniczego widma, wstrząsnęło mię boleśnie. Łzy mi się rzuciły do oczów, co widząc Gruszkowska poczęła żałować, że się zgodziła na to, by mi opowiadać te „straszne i dawne historye", jak mówiła. Potrafiłam jednak wkrótce opanować moje rozrzewnienie i nalegałam na staruszkę, by dalej opowiadała:

— Przecie nie znałam mego biednego ojca — mówiłam — wszystko więc, co się jego dotyczy, interesuje mię bardzo. Niech Gruszkowska nie zważa na moje łzy, ja teraz tak jestem zdenerwowana, że lada czego płaczę. Proszę bardzo, niech Gruszkowska dalej mówi...

Wzdragała się przez chwilę, ale wkońcu uległa moim prośbom i tak opowiadała:

— Było to w maju, także w dzień św. Julii i jaśnie pan wieczorem, może była godzina dziesiąta, przysłał do mnie tego pijaka Onufrego Kociubskiego, żebym przyszła na górę, do pokoju jaśnie pana, bo już zabierał się do spania, w jakimś tam interesie, o którym zapomniał mi wcześniej powiedzieć. Wdrapałam się tedy na schody, bo właśnie w tym roku nożyska zaczynały mi puchnąć, a księżyc także wi dno świecił i od okien w korytarzu blask na podłogę mocny padał. Wchodzę na korytarz i widzę, jaśnie pan stoi we drzwiach swego pokoju i patrzy w głąb ku bibliotece. Zaraz mię strach śmiertelny zjadł, bom sobie przypomniała, jak przed kilku laty w tymże samym korytarzu i w tenże sam dzień św. Julii zobaczyłam z Magdą ową białą marę. Jęki też się i teraz rozlegały i wiatr lodowaty szedł po korytarzu. Spojrzę, a owa mara płynie, płynie, jak zawsze przejrzysta, jęczy zupełnie tak samo, jak kiedy wicher w starych kominach świszczy jesienią, a jasny pan żegna się, stoi i patrzy. I powiem panniusi, że mi nie było tak straszno, jak pierwszym razem. Mara doszła do okna naprzeciw akuratnie saloniku panniusi i roztopiła się w blasku miesiąca... Wtedy jaśnie pan odwrócił się do mnie i gada:

— Gruszkowska, widziałaś?

— Widziałam, jaśnie panie.

— Pewnie — rzekł dziedzic — jakie nieszczęście. Boję się o mojego syna.

— A potem to mi surowo nakazał, abym nikomu o tem nie mówiła. Pary o tem, coś widziała — gadał — żebyś mi z gęby nie puściła, nakazuję. Ja też pierwszy raz o tem panniunci mówię. I dobrze jaśnie pan gadał, że pojawienie się tej okropnej mary nieszczęście zwiastuje, bo w trzy miesiące potem przyszło z urzędu zawiadomienie, że jaśnie wielmożny pan pułkownik, a ojciec panniunci, tego samego dnia, w uroczystość św. Julii, wieczorem, gdzieś tam za morzami i górami przez jakichś dzikusów murzynów zamordowany został. Nieszczęście i tyle!

Zadziwiające i niezrozumiałe dla mnie były to rzeczy. Bo jeżeli można przypuścić halucynacyę, przywidzenie w oczach takiej prostej i zabobonnej kobiety, jak Gruszkowska, to już niepojętem było, dlaczego Magda, „dziewka gruba i ciężka jak kafar", według wyrażenia klucznicy, istota pierwotna i zgoła pozbawiona fantazyi, zobaczyła także to widmo, dlaczego widział je dziadunio, mężczyzna zdrowy, żołnierz i myśliwy, nie usposobiony wcale poetycznie i pełen prozaicznego poglądu na życie? Kłamstwa tu być nie mogło, bo i na co? więc ostatecznie coś było, coś niewytłumaczonego, fakt niezaprzeczony, choć dla mnie niejasny. A przytem to pojawianie się widma w chwili jakiegoś nieszczęścia, dotykającego członków rodziny i to, że nieszczęścia te przytrafiają się w fatalny zaiste dla mej familii dzień św. Julii, patronki mojej i mej praprababki, pani chorążyny. Co to wszystko znaczy? — pytałam samej siebie, nie mogąc oczywiście rozwiązać tej fatalnej zagadki.

Chcąc zbadać, co Gruszkowska wie o pochodzeniu tego widma i o przyczynie jego pojawiania się, zapytałam:

— Czy Gruszkowska nie wie, czyja to dusza tak pokutuje po śmierci? może tu w zamku jaka zbrodnia się dawniej stała?

Staruszka zamyśliła się i odrzekła:

— Hm, dużoby to o tem gadać i kto to wie, co jest prawdą, a co, z przeproszeniem, bajką. Byłam jeszcze maluśką dziewuchą, kiedy żył tu w zamku stary burgrabia Wilczek, a miał, jak sam gadał, przeszło sto lat i pomarł niedługo potem. Stary zawsze przed pójściem spać wypijał butelkę miodu, dereniaku, bardzo mocnego i dziedzice mu tego nie bronili, bo to był dawny sługa i dużo wiedział różnych sekretów familijnych. Staruszek był siwiuteńki jak gołąb i miał dużą białą brodę, co w nas dzieciach wzbudzało wielkie dla niego poszanowanie, a dzieci lubiał on bardzo, bo własnych nie miał i jak gadał, ostatni jest ze swego rodu.

Nie przeszkadzałam gadatliwej Gruszce, bo wiedziałam, że to na nic by się nie zdało, a przytem interesowało mię wszystko i każda wiadomość z przeszłości miała dla mnie znaczenie. Wszak Wilczek, zapewne ojciec a może dziad tego, o którym klucznica mówiła, był burgrabią zamku w czasie, w którym pani chorążyna była więziona. Milczałam więc, przelawszy w słuch całą moją duszę.

— A dzieci było wtedy w zamku mnóstwo — ciągnęła dalej Gruszkowska — oficyalistów i służby było dużo, dwór był pański, nie tak jak teraz. Nie było małżeństwa, żeby nie miało po czworo i pięcioro dzieciaków, a były i takie, co ich miały dziesięcioro. Dobre to były czasy. A wszystkie te dzieciaki zbiegały się co wieczór do starego Wilczka, bo opowiadał różne bajki i częstował piernikami, które sam zawsze jadł, popijając dereniak. I on to pierwszy zakazywał nam chodzić na górę i włóczyć się po korytarzu z portretami, cośmy często robiły, bo państwa nie było w Zamkowej Woli, jeno mieszkali w innym majątku, Czarnowie, podle miasta Kielc. Nie chodźcie dzieci, mówił Wilczek, na górę, bo tam ukazuje się mara jednej pani, którą kiedyś w dawnych czasach zadusili w izbie kole biblioteki. To nas strach...

— Jakto? — zawołałam — Wilczek mówił, że udusili?

— A tak mówił, proszę panniunci i to musi być prawda, bo gdyby owa pani umarła, jak się należy i pojednawszy się wprzód z Bogiem, toby po śmierci jej dusza nie błąkała się po zamku. Ja, chociem biedna sługa, to jak jeno doszłam do rozumu, to zawdy na św. Julię, bo panu Julia tej pani na imię było, daje za jej duszę na Mszę św. ojcom w klasztorze Swiętokrzyskim. Coby to zaś była za pani i dlaczego ją udusili, ja nie wiem, bo Wilczek o tem nie gadał, a gdy potem państwo z synem, dzisiejszym jaśnie panem, zjechali do zamku i dowiedzieli się o gadaniu Wilczka, to mu surowo zakazali straszyć dzieci. On też niedługo potem pomarł.

Można sobie wyobrazić jak straszne, przygnębiające wrażenie wywarło na mnie opowiadanie starej klucznicy. Już teraz nie ulegało najmniejszej nawet wątpliwości, że nieszczęśliwa moja praprababka więziona była w komnacie poza biblioteką i że tam pełne utrapień życie tragicznie zakończyła, zamordowana przez okrutnego tyrana i zbrodniarza, swego męża. Cóż za okropna historya, która powoli, jak nić z kłębka, rozwinęła się przedemną, jedyną wnuczką tego krwawego rodu Dziaduskich. I zdawało mi się, że słowa Boga Mojżeszowego: „Karać was będę za grzechy wasze w dziesiątem pokoleniu", na mnie się sprawdzą.

Chciałam Gruszkowskiej o to i o owo się jeszcze zapytać, ale zjawiła się Zuzia, rozpromieniona, wesoła i przerwała naszą rozmowę. Głowa mię przy-

tem rozbolała mocno, dziwny w niej chaos myśli pozostał i już nie mogłam o niczem myśleć...

Dnia 2 kwietnia. Dziadunio wrócił wczoraj, zły, wygadujący na „kajzerlików“, jak nazywa wojska austryackie, za to, że mu kazano dostawić do Kielc, już nie wiem, jaką tam ilość żyta, mąki, owsa i centnarów siana. Opowiadał przytem, że armia austryacka rozstawioną jest od Kielc do Końskich i że wódz jej naczelny, arcyksiążę Ferdynand d'Este jest w jakimś Odrzywole, niedalego granicy Księstwa Warszawskiego, że napadnie na to księstwo ale teraz już z nienacka nie uda mu się tego dokonać, bo przecież dziadunio uwiadomił o wszystkiem księcia Józefa przez mnicha z Wąchocka, z czego był niezmiernie zadowolony i zacierał ręce z radości. Nadzwyczajnie przytem był zdziwiony, dowiedziawszy się, że Szydło przysłał wózek i konie klasztorne i mówił do mnie, że nic tego nie rozumie, ja też nie starałam się go objaśnić, bo głowa i serce moje były czem innem zajęte, ale zdaje mi się, że znowu Walczak wyruszył do puszczy zapewne z poleceniem, by Szydło stawił się w zamku. Konie i wózek dziadunio kazał odprowadzić do klasztoru. Zresztą cały dzień był zajęty ładowaniem zboża i siana na ogromne fury i wysyłaniem ich do Kielc, tak że miałam zupełną swobodę i zajęłam się wyłącznie rozpatrzeniem papierów, znalezionych przezemnie w krwawej, jak ją nazywałam, izbie, na zawsze mi pamiętnej tragicznym losem mej praprababki.

Otóż między temi papierami znalazłam dwa listy, dziwnie ponure światło rzucające na straszną katastrofę, jaka się w tym zamku rozegrała przed stu kilkudziesięciu laty. Jeden z nich, pisany po francusku *), drugi okropną, starą polszczyzną. Oba pomieszczam w moim dzienniku, choć oryginały starannie postanowiłam przechować w biurku. Na co? nie wiem, ale mi coś w głębi duszy mówi, że kiedyś przydadzą mi się może.

XI.

List francuski nieznanej damy do p. Mikołaja Dziaduskiego, chorążego Sandomierskiego.

„Łatwowierny mężu!

Doświadczenie wieków i historya tylu źle dobranych małżeństw uczy nas, że mężczyzna liczący sobie przeszło sześćdziesiąt lat, do tego łysy i brzydki, nie powinien żenić się z kobietą dwudziestoletnią, posiadającą piękność niezwykłą, powiedziałabym dyabelską. Doświadczenie to bowiem powiada, że młody mąż młodej kobiety miewa z nią czasem dzieci, ale zato stary mąż młodej żony miewa je zawsze, czego bijący w oczy dowód, nieznana twoja przyjaciółka, panie chorąży, ma właśnie przed oczami.

Czytałeś kiedy, panie hrabio, rozczulającą historyę Tankreda i Klorindy, którą napisał włoski poeta Torkwato Tasso? Pewnie nie czytałeś, bo polski hrabia i szlachcic musi myśleć o obdzieraniu chłopów, a nie o poematach, do tego miłosnych. Ale ten polski szlachcic zapomina, że takie poematy są niekiedy rzeczywistością.

I cóż? chcesz posłuchać panie chorąży sandomierski prawdziwej historyi nowej, czarnookiej Kloryndy i nowego, namiętnego Tankreda? Opowiem ci, powodowana jedynie dobrocią serca i gorącą przyjaźnią dla ciebie, łysy, brzydki i zdradzony mężu. Oto ta historya:

W pewnym zaczarowanym pałacu bawi w gościnie piękna, dwudziestoletnia Julia... chciałam powiedzieć Kolrynda, zapewne mocno rada, że mogła choć na parę miesięcy uwolnić się od widoku i niewczesnych, a według wszelkiego prawdopodobieństwa, zawsze niepowodzeniem uwieńczonych uścisków swego sześćdziesięcioletniego, łysego i brzydkiego męża. W tymże zaczarowanym pałacu przebywa także w gościnie młody, piękny jak anioł z niebios strącony, mistrz włoski... chciałam powiedzieć rycerski Tankred, którego uściski, zapewnić cię mogę, o panie chorąży! w przeciwieństwie do ciebie zawsze są powodzeniem uwieńczone...

I cóż dziwnego, że piękna Klorynda pokochała niemniej pięknego Tankreda, bo zawsze młode Kloryndy, mające starych, łysych i brzydkich mężów, których uściski są stale niepowodzeniem wieńczone, kochają się w młodych Tankredach, których uściski są pewne i zwycięskie? Prawda, panie hrabio, że w tem niema nic dziwnego? zawsze tak bywa i zawsze tak będzie... A tu jeszcze w tym zaczarowanym pałacu był Włoch, artysta, uczeń Rafaela, śliczny jak sen poety... jakże go nie pokochać, gdy całe godziny z nim spędza się w słodkiem sam na sam, bo Tankred maluje portret Julii, chciałam powiedzieć Kloryndy i wpatruje się w jej cudne oczy i pożera ognistemi źrenicami jej tajone wdzięki i rozkosze... Nieba! któżby się temu oparł?... Nie mówię tu o tobie, panie chorąży, bo tybyś się niezawodnie oparł, jakeś się dotąd opierał i że mógłbyś zostać Kamedułą, pewny, że przeciw regule czystości nie zgrzeszysz!...



...Dostał się do alkowy nadobnej Julii...

I stało się, co się stać musiało. Pewnej pięknej, księżycowej nocy dzielny Dolabella, chciałam powiedzieć Tankred, dostał się do alkowy nadobnej Julii, chciałam powiedzieć Kloryndy, przez okno, boć przecie okna nie są dlatego, by przez nie wyglądać i by światło dawały, ale po to, by nieszczęśliwi kochankowie, nie mogąc zwykłą drogą, przez nie dostawali się do sypialni kochanek. Prawda, panie chorąży sandomierski, jaki to genialny wynalazek te okna, zwłaszcza w alkowach nadobnych Julii, czyli Kloryndy?

Ale nie martw się o mężu, najbrzydszy i najbardziej łysy ze wszystkich mężów na świecie. Nie pierwszy zostałeś oszukany i nie ostatni, a ty będziesz miał tę pociechę jeszcze, że ród twój zacny, o którego dalszą egzystencyę tak się troszczyłeś, teraz, zaręczam ci, nie wygaśnie, bo uściski kawalera Dolabelli, chciałam powiedzieć Tankreda, są zawsze skutkiem uwieńczone, nie tak, jak twoje...

Racz przyjąć odemnie wyrazy pociechy

Twoja serdeczna i śmiejąca się szczerze przyjaciółka

Armida“.

XII.

List prałata Wojciecha Dziaduskiego, kanonika krakowskiego, do Mikołaja Dziaduskiego, chorążego Sandomierskiego *).

„Mnie wielce mościwy panie chorąży, a bracie mój i dobrodzieju!

Jeżeli rok temu, akuratnie na św. Marcina, patrona naszej Rzeczypospolitej, radosna, rzec mogę, doszła mię wiadomość, że godna małżonka Wasza, panie bracie i mój dobrodzieju, powiła syna, opłaciwszy te urodziny przedwczesnym *heu!* zgonem i że tym sposobem zacny nasz ród, w antecesorach swoich blaskiem niespożytym świecący na świat cały i Koronę polską, dalszą trwałość z miłosierdzia Boskiego ma *plenaliter* zapewnioną, to teraz z ust wiarogodnych dowiaduję się, czemu jednak żadną miarą wierzyć nie mogę, o bolesnej i niesłychanej w naszej familii rzeczy, jakobyś panie a bracie mój i dobrodzieju, nie chciał uznać tego dziecięcia za swego, z twoich lędźwi spłodzonego, syna.

Na toż zabiegi i starania u JW. Panów Czarnkowskich czyniłem, by ci panie a bracie mój, dziewkę swoją dali w święty stan małżeński? na toż koszta nie małe łożyłem i wyiskrzyłem się znacznie, by taki był koniec żałosny tej imprezy? Bywały w różnych czasach i narodach takie niegodne niewiasty, istny *pix diaboli*, które łamały przysięgę świętą i haniebnie małżonków zdradzały, ale w Polsce jest to rzecz niesłychana i nigdy nie widziana w domach szlacheckich. Na tożeś wziął panie a bracie mój, dziewuchę zacnego stanika, z godnego domu szlacheckiego, z familii będącej ornamentem Rzeczypospolitej, byś miał na nią szpetną kalumnię rzucać? I jakiż to, pytam, masz dowód na to, że ona płód kukułczy w twe gniazdo wniosła? Plotka to jakaś niegodna, przez zawiść rozpuszczona, a tyś jej uwierzył, ty mąż stateczny i doświadczony. Zamiast Panu Bogu dziękować, że w swem miłosierdziu nieprzebranem nasz ród utrwalić raczył w twoim synaczku, z którego może, da Bóg, jak z pnia zdrowego liczne rozrosną się gałęzie na chwałę Pańską i pożytek Rzeczypospolitej, ty, w zaślepieniu, nie rozpatrzywszy się dobrze, chcesz te wątłą roślinkę zdeptać i precz odrzucić! O! panie i bracie mój, nie godzi się tak czynić.

Przepytywałem ja się tutaj, skąd ona bezecna plotka mogła wypłynąć i prawie pewny jestem, że z nikąd, jeno z Gaworowa. Źle panie bracie uczyniłeś, że w taki dom, pełen francuskiego obyczaju i nie chcę rzec, zepsucia, puściłeś swą młodą małżonkę, ale zapewniam cię słowem kapłańskiem, że wszystko, co ludzie gadają, jest plotką, a mnie zaręczono mi uroczyście, że twoja żona, a moja bratowa, przyjechała do Gaworowa już w stanie błogosławionym. Zważ jeno, że urodziła syna w Oktobrze miesiącu, a do Gaworowa przyjechała w maju, policz czas przez naturę wyznaczony i plotkę tę haniebną odrzuć od siebie, zdepcz ją nogami, jak jadowitą gadzinę, która cię z nienacka ukąsiła. Synaczka przyciśnij do piersi, jako krew z krwi swojej i kość z kości swojej i żałuj, żeś najgodniejszą z żon haniebną kalumnią splugawił. To ci mówię i przykazuję jako starszy brat i głowa rodu i jako kapłan.

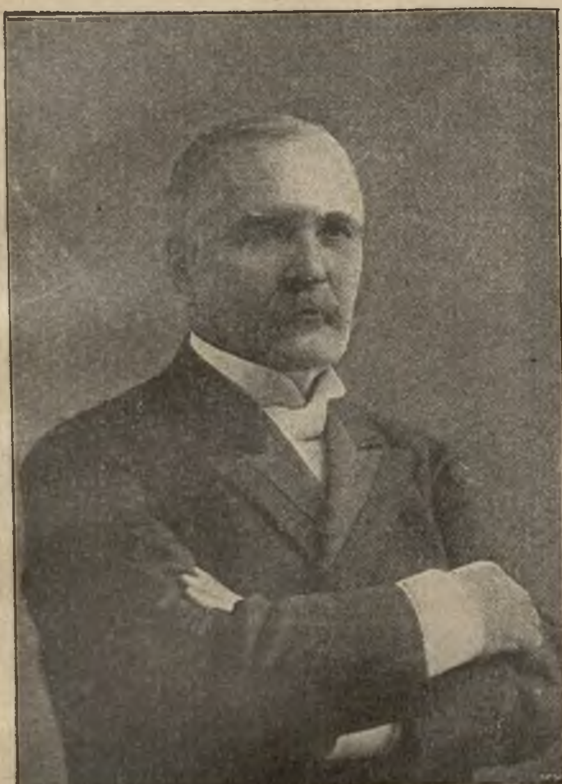
*) Podajemy go tutaj w dosłownym przekładzie. (Nota przepisywacza).

*) Liczne zdania łacińskie, z małym wyjątkiem, z tego makaronicznego listu, przepisywacz wyrzucił i zastąpił je dla jasności polskiemi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zgon ruskiego kompozytora.

Niedawno naród ruski stracił największego pieśniarza kompozytora, „kobzarza Ukrainy“, Mikołaja Łysenkę, który zmarł z. m. w Kijowie.



Zgon ruskiego kompozytora: Ś. p Mikołaj Łysenko.

Urodzodzony w r. 1842 na Ukrainie, Łysenko już w młodocianych latach okazywał zamiłowanie do muzyki. Po skończeniu gimnazyum i uniwersytetu kijowskiego, Łysenko udaje się do Lipska, gdzie oddał się całkowicie fachowym studyom muzycznym pod kierownictwem prof. Richtera i pianisty prof. Reinekiego. Po ukończeniu konserwatoryum lipskiego wraca w 1868 r. do Kijowa, a stąd udaje się jeszcze do Petersburga, gdzie u słynnego rosyjskiego kompozytora Rimskij-Korsakowa studyuje specyalnie instrumentacyę i kompozycyę muzyczną. Po powrocie do Kijowa, zmarły kompozytor założył tam szkołę muzyczną, której dyrektorem był do ostatnich dni życia swego.

Największą zasługę położył Łysenko na polu pieśni ludowej. Melodya ludowa wycisnęła silne piętno na wszystkich niemal jego dziełach. Około 500 pieśni ludowych ruskich zharmonizował Łysenko bądź na sola z akompaniamentem fortepianu, bądź na chóry i instrumentalną muzykę.

Gałęzią drugą jego działalności muzycznej było illustrowanie muzyką utworów T. Szewczenki, największego narodowego poety Ukrainy. I chociaż Łysenko był wykształconym na muzyce niemieckiej, mimo to w dziełach jego nie ma jej śladu, a przeważa charakter swojski, indywidualny. Z instrumentalnych jego kompozycyi należy wymienić: gawoty, polonezy, polki, suity, rapsodye, pieśni bez słów i t. p. utwory na fortepian, a także kilka kompozycyj na skrzypce, wiolonczelę i orkiestrę.

Z oper i operetek znane są powszechnie następujące dzieła Łysenki: „Pan Kocki“, „Wiosna i zima“, dalej „Czarnomorcy“, „Natałka Połtawka“, „Utopiona“, „Noc przed Bożem Narodzeniem“, „Taras Bulba“, „Safo“ i ostatnia jego praca, jednoaktówka „Nocturno“.

Pracował też Łysenko na polu muzyki cerkiewnej i pisał też teoretyczne rozprawy o pieśnach ludowych.

W r. 1903 obchodził jubileusz 35 letniej pracy kompozytorskiej — był wówczas także i w Galicyi — a jubileusz jego był świętem narodowem Rusinów.

Tem, czem dla polskiej muzyki był Moniuszko, tem dla Rusinów jest Łysenko. On odrodził muzykę, wprowadził ją na nowe tory, stworzył narodową operę i położył podwaliny pod nowy gmach ukraińskiej pieśni.



Pod powłoką lawy: Straszne spustoszenia, dokonane przez wybuch wulkanu na Filipinach.



Z wojny na Bałkanach: Ucieczka Turków po klęsce pod Lüle-Burgas.

Pod powłoką lawy.

Jednem z najstraszniejszych zjawisk natury, które pociąga za sobą nieraz nieobliczalne wprost szkody, jest działanie wulkanów. Ponieważ środek ziemi jest w stanie płynnym, gazy wytwarzane przez topiące się masy szukają sobie ujścia na zewnątrz i znajdują je w formie wulkanów, które z swego wnętrza wyrzucają strumienie płynnej masy, zwanej lawą, popiół, kamienie i t. p. Właściwie nauka nie potrafiła jeszcze dokładnie stwierdzić, jakie przeobrażenia wewnętrzne ziemi wpływają na powstawanie tych strasznych zjawisk. Faktem jednak jest, że nie tylko ziemia, ale i inne planety o stałej powierzchni posiadają kratery wulkaniczne, a czynność mas ognistych w ich głębi objawia się co pewien czas gwałtownymi wybuchami.

Wśród wysp ziemi, które są terenem peryodycznych wybuchów wulkanów, były Filipiny w r. 1911 obrazem strasznego spustoszenia. Na jednej z wysp otworzył się nagle silnie wybuchający wulkan, który w dniu 27 stycznia 1911 wyrzucił z siebie strumienie lawy i popiołu na całą okolicę. Mieszkańcy okoliczni, nie spodziewając się tak nagłego wybuchu, zostali przeważnie pogrzebani w gorącym popiele lub spaleni w lawie. O ucieczce nie mogło być mowy.

Dopiero teraz udało się ekspedycyom naukowym dotrzeć do miejsca katastrofy, obecnie bowiem lawa już na tyle ostygła, że można po niej chodzić.

Illustracya nasza przedstawia obraz spustoszenia dokonanego przez wybuch. Widzimy na niej ciała nieszczęśliwych mieszkańców, które powleczone lawą, zamieniły się w mumie.

Najstraszniejszą niewątpliwie katastrofą wulkaniczną był wybuch Wezuwiusza w r. 79. Zostały wtedy zasypane w zupełności dwa bogate i handlowe miasta starożytności, Pompei i Herkulanum. Pod potokami lawy zamarło wtedy życie tych dwóch miast, ale przetrwało do dziś dnia, przez tyle wieków, i dziś jest istnym skarbem dla nauki i archeologów... Prace, prawadzone około odkopywania Pompei, pozwoliły odtworzyć z całą dokładnością życie i obyczaje starożytnego świata rzymskiego. To też spieszą tam uczeni z całego świata, aby oglądać to życie dawnych Rzymian, skamieniałe w lawinie wulkanu. Na drugiej naszej illustracyi widzimy właśnie uczestników wszechświatowego Kongresu archeologów, zwiedzających odkopane ulice w Pompei.



Pod powłoką lawy: Uczestnicy międzynarodowego zjazdu archeologów w Rzymie zwiedzają wykopaliska w Pompei.

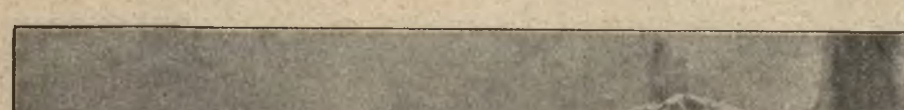


Z wojny na Bałkanach: Ismail Kemal bej, który proklamował niezawisłość Albanii w Durazzo 23 listopada 1912 r.

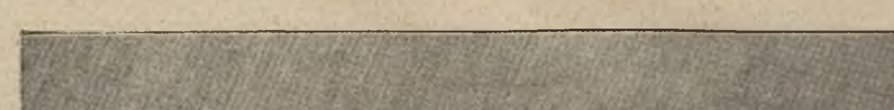
Z wojny na Bałkanach.

Wojna bałkańska zdaje się dobiegać kresu. Rokowania pokojowe, prowadzone między przedstawicielami obu stron wojujących, zostaną lada dzień ukończone z pomyślnym skutkiem. Teraz jednak dopiero, kiedy na terenie walk zapanował już względny spokój, można dokładnie przekonać się o rozmiarach spustoszeń, jakie na Bałkanach sprawiły zarówno wojna, jak i równie straszna cholera.

Pisma przepełnione są opisami strasznych wydarzeń, jakich widownią były wsie i miasta, objęte pożogą wojenną. Rzecz prosta, iż w chwilach takich, gdy zapach prochu i krwi ludzkiej, głód oraz przemęczenie rozpętują nerwy ludzi do ostatnich granic, wydobywa się na jaw często dzika i okrutna natura



Z wojny na Bałkanach: Żniwo cholery we wsi tureckiej pod Czataldżą.



Z wojny na Bałkanach: Ucieczka kawaleryi tureckiej z pod Lüle-Burgas.



Przeciw wywłaszczeniu: Prezydyum polskiego wiecu manifestacyjnego w Innowrocławiu: W pierwszym rzędzie siedzą: Red. Chociszewski, red. Poszwiński sekr. wiecu, poseł Niegolewski, poseł Seyda, ks prał. Laubitz, marszałek wiecu Chłapowski, prezes Koła pol. w Sejmie prus. poseł Mizerski, poseł Dombek, poseł Czarliński, poseł Trąmpczyński, ks. Mojzykiewicz.

człowieka, która znajduje ujście w mordzie i pożodze. Pod tym względem żadna ze stron wojujących nie jest bez winy.

Cofające się wojska tureckie po pogromach palily i w pień wycinały wsie, w których znajdowały ludność narodowości bułgarskiej, serbskiej lub greckiej. Dopuszczano się przytem wyrafinowanych okrucieństw, bezczeszcząc kobiety i dziewczęta, mordując starców i dzieci. To samo jednak robili i Serbowie w Albanii, gdzie wymordowali całe wsie albańskie, urządzając nawet specyalne wyprawy na bezbronnych mieszkańców. Podobnież postępowali z Turkami Grecy. Najmniej okrutnie może zachowywali się Bułgarzy.

Drugą zmorą, która wyniszczyła kraje bałkańskie, to cholera. Zbierała ona obfite żniwo zwłaszcza na linii obronnej Czataldży i w Konstantynopolu. Ko-



Przeciw wywłaszczeniu: Brylanty ofiarowane na fundusz narodowy po wiecu polskim w Innowrocławiu.

respondenci wojenni donoszą, że pod Czataldżą w niektórych wsiach wymarli na cholerę wszyscy mieszkańcy. Wojsko tureckie straciło około 50 tysięcy ludzi, padłych na cholerę. Nie mniejsze straty ponieśli i Bułgarzy.

Właściwa uwaga w kwestyi wojennej koncentruje się obecnie na Albanii. Serbowie zajęli już port Durazzo i maszerują wzdłuż wybrzeża Adryatyku ku południowi. Albańczycy tymczasem, licząc na poparcie Austro Węgier, które zaprotestowały energicznie przeciw serbskim zamysłom, ogłosili niezawisłość Albanii i ustanowili nawet prowizoryczny rząd, na czele którego stanął Ismail Kemal bej, znany już z swych podróży w sprawie albańskiej po Europie. Nowe państewko notyfikowało już swe powstanie u rządów państw europejskich.

Poza targiem o Albanię Serbia nie wyjaśniła dotychczas sprawy znieważenia austryackiego konsula Prochaski. Wprawdzie pozwolono mu przybyć do Skoplie z Prizrentu i skomunikować się z delegatem austr. ministerstwa spraw zagran. Edlem, ale szczegóły, jakie przy tej sposobności wyszły na jaw, nie przyczyniły się bynajmniej do załagodzenia zatargu austryacko serbskiego.



Znamienna wizyta: Austryacki następca tronu i cesarz Wilhelm na polowaniu.



Z wojny na Bałkanach: Książę czarnogórski Mirko wśród jeńców albańskich.

Przeciw wywłaszczeniu.

Poznańskie a z niem cała Polska przyjęła z męską postawą nowy gwałt pruski — przeprowadzenie ustawy o wywłaszczeniu. Po imponującym wiecu w Gnieźnie odbył się znowu podobny protestujący wiec w Innowrocławiu, zwołany przez członków Kół polskich w sejmie pruskim i parlamencie niemieckim. Była to potężna manifestacya narodowa. Wzięli w niej udział najwybitniejsi przedstawiciele wszystkich warstw społeczeństwa polskiego, którzy w imponującej liczbie zjechali się nie tylko z Poznańskiego, ale ze wszystkich dzielnic Polski.

Wiec zagaił nastor ziemiaństwa polskiego w Poznańskiem, członek Izby panów, p. Kazimierz Chłapowski z Kopaszewa. On też został wybrany marszałkiem zgromadzenia. Referat wygłosił poseł dr. Roman Komierowski, który przedstawił położenie Polaków, wydanych na łup pruskiej hakaty. Następnie ks. prałat Laubitz, proboszcz z Innowrocławia, omawiał stosunek polityki antypolskiej do Kościoła katolickiego, poczem przemawiali jeszcze włościanin Ozimina, który mówił o stanie włościańskim i jego obowiązkach wobec walki o ziemię ojczystą, oraz poseł miasta Poznania Stanisław Nowicki, który w imieniu robotników polskich wniósł gorący protest przeciw gwałtowi wywłaszczenia.

Wiec innowrocławski był nie tylko poważną manifestacyą przeciw gwałtowi wywłaszczenia, ale stał się hasłem do ogólno-narodowej akcyi obronnej przeciw pruskiej przemocy. Zaświadczył również, że wywłaszczenie czterech majątków polskich w Poznańskiem nie wniosło bynajmniej w szeregi nasze zamieszania i bezradności. Przeciwnie, stało się wezwaniem do tem energiczniejszej obrony i mężnego wytrwania! O nastroju, jaki panował na wiecu, świadczy wymownie fakt, że na fundusz narodowy złożono obfite ofiary, a jedna z uczestniczek wiecu ofiarowała na ten cel kosztowną, brylantową biżuteryę, której fotografię zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Znamienna wizyta.

W obecnej sytuacyi politycznej Europy na czoło wszystkich spraw wysuwają się dwa ugrupowania polityczne, których stanowisko wzajemne może zaważyć na szali pokoju europejskiego. Dzięki różnym przymierzom i układom siły polityczne Europy ułożyły się w ten sposób, że utworzyły się dwa związki mocarstwowe: trójprzymierze, do którego należą Austro Węgry, Niemcy i Włochy, oraz trojporozumienie, w którem uczestniczą Francya, Anglia i Rosya.

Te dwa ugrupowania prowadzą każde swoją politykę i w chwilach ważniejszych dla Europy występują zawsze jako solidarne grupy, decydując o spokoju i równowadze w Europie.

Obecne chmury wojenne, które zasłoniły horyzont europejski, poruszyły polityków wszystkich tych państw, powodując narady i konferencye, które mają na celu utrzymanie równowagi w Europie.

Na tem tle doniosłego znaczenia nabiera wizyta, jaką przed kilkunastu dniami złożył austr. następca tronu arcyk. Franciszek Ferdynand w Berlinie.

Poza grzecznością sąsiedzką kryły się za kulisami tej wizyty ważne narady polityczne, których następstwem było oficyalne poparcie Niemiec, użyczone Austryi w sporze o porty albańskie z Serbią. Wizyta ta zarazem stwierdziła, że łączność trójprzymierza jest bardzo silna.

Dla hygieny ludu.

Pierwszym warunkiem zdrowia jest niewątpliwie hygiena, a pierwszym warunkiem hygieny — czystość. To też aby ułatwić przestrzeganie czystości ciała niezamożnym sferom, powstają w większych miastach łaźnie ludowe, urządzone według zasad hygieny, a dostarczające kąpieli po najprzystępniejszych cenach. Instytucya taka, pod nazwą „Pierwszy zakład kąpieli ludowych" została w tych dniach oddaną do użytku publicznego we Lwowie. Otwarcia Zakładu dokonał prezydent miasta Neuman w asystencyi prawie wszystkich członków Rady m. oraz licznego grona wybitnych osobistości. Po przemówieniu prezydenta, aktu poświęcenia dopełnił ksiądz infułat Lenkiewicz, który w krótkiej przemowie życzył powodzenia nowej instytucyi.



Dla hygieny ludu: Pierwsza miejska łaźnia ludowa we Lwowie (Fot. M. Münz, Lwów).



Z wojny na Bałkanach: Wzniecony przez wojska greckie pożar wsi pod Salonikami.



Z wojny na Bałkanach: Na drodze z Czataldży do Konstantynopola leżą chorzy na cholerę.

Jerzy Ohnet.

Śmierć Bonapartemu!

13)

— Nigdy się wasi Jakobini nie uspokoją. Znowu głośno o ich spiskach. Polecili Ceracchi'emu i Arenie zgładzić mię ze świata. Przypominają się.

— Zapewniam, że generał źle poinformowany. To szajka Jerzego wywołuje rozruchy... Wiem do brze o ich krokach. Zabili mi najlepszego agenta, bo był na ich tropie. Dziś odnajdę ich i nie puszczę już z ręki.

— A ja jeszcze raz powtarzam, że grożą mi terroryści... Oszczędzasz ich i bronisz, jako dawnych przyjaciół, a może i z obawy przed nimi.

Fouché nieznacznie się uśmiechał. Przymknął ponure oczy i odparł głucho:

— Generale, nie mam przyjaciół wśród ludzi, niepokój w państwie niecących. Lękam się tylko jednego, waszego niezadowolenia.

Bonaparte skinął pojednawczo głową i pożegnał ministra policyi. Nie brał jednakże w rachubę możliwych kaprysów siostry swej Karoliny i Hortensyi Beauharnais. Popołudniu obległy go obydwie delikatnemi wymówkami z powodu odłożenia opery. Zwłaszcza Hortensya, sama bardzo muzykalna, przyszła z bardzo wydłużoną miną. A generał, w domowych stosunkach zawsze miękki, pociągnął za ucho milutką córkę żony, ze słowami:

— Cóż, bardzo ci przykro, że nie usłyszysz poważnego oratoryum? Będzie to, zapewniam was, rzecz bardzo nudna.

— Jeżeli tak, generale, to wyjdziesz przed końcem, a ja z mamą i panią Murat zostaniemy same.

— No, no, jakoś to będzie! Dopiero wieczorem postanowię ostatecznie, co będzie.

— Nareszcie! W każdym razie nie odmawiaj kategorycznie!

O tej samej porze Saint Régéant wyczekiwał niecierpliwie pani Lerebourg. Noc strawił na poważnych rozmysłach. Wiedział, iż idzie na pewną śmierć. Cudem tylko mógł jej uniknąć. Tem cenniejszą zdała mu się przyrzeczona przez Emilię godzina miłości, iż wiedział, że to będzie jedyna i ostatnia. Serce mu omal nie wyskoczyło, tak brakło mu ze wzruszenia, skoro usłyszał szmer otwieranego tajemnego przejścia. W korytarzyku ukazał się cień, niosący w szumie jedwabi subtelny powiew perfum, a gdy się drzwi zamknęły, dwoje kochanków padło sobie w objęcia. Długą chwilę tulili się tak bez słowa, rozkoszowali się tem wzajemnem oddaniem, zbliżeniem drżących do głębi istot. Szybkim ruchem rzuciła Emilia kapelusz i rękawiczki, a otoczywszy ramiony szyję Saint Régeant'a, pociągnęła go w światło małego okna, by go lepiej widzieć; niebieskie oczy tonęły w młodzieńcu z radością i zarazem lękiem.

Nie chciał mówić z nią o swych obawach. Usta jej ujął gwałtownym uściskiem, rozzuchwalone ręce przyciskały giętkie kształty, które poddawały się pieszczocie, porwał i uniósł upojeniem rozdrganą. W miłości żal przyszedł, że tak długo odwlekali szczęście.

— Jak to nierozsądnie, najdroższa, że opierałaś mi się dotychczas. Czy sądziłaś, że na tem oboje poprzestaniemy, po wyznaniu sobie wzajemnej miłości.

— Nie powinnam była uledz. Stwarzam sobie po stokroć gorsze męczarnie. Wczoraj opłakiwałabym cię, a dziś, jak myśleć o utracie takiego kochanka.

Uścisnął ją znów i w ciemnym, szczupłym zakątku nic nie było słychać. prócz rytmu pocałunków. Czas mijał szybko, tem prędzej, im rozkoszniej. Zerwała się Emilia:

— Mój Boże! Muszę już odejść! Jak ciężko! A co nam jutro przyniesie?!

— Jestem tak szczęśliwy, iż nie tracę nadziei. Emilio, uniknę niebezpieczeństw, na jakie się narażam. Niebo chyba nie pragnie naszego rozłączenia.

— Moje troski byłyby, tak sądzę, znośniejsze, gdybym wiedziała nieco o twych zamiarach. Nie mógłbyś mi ich powierzyć?

— Ani w części! Żądasz niemożliwości! Zaklinam cię tylko na Boga, byś nie wydalała się dzisiejszego wieczora z domu, nim noc zapadnie!

— Noc zapada obecnie o piątej... Już się zbliża... Czy będą rozruchy w Paryżu? Czy grozi walka?

— Nie pytaj mię o nic! Zamknij się w twym pokoju. Nie wychodź, bez względu na to, co zaszłoby na ulicy.

— Czy w niczem nie mogę być ci użyteczną? Może zdołam odwrócić od ciebie niebezpieczeństwo?

— Nie myśl o tem.

— Pamiętaj w każdym razie, że u nas na górze są pokoje, nawet jeden zupełnie wolny, gdzie mógłbyś kryć się przynajmniej dzień jeden i nikt by tego nie przypuszczał.

— Nigdy! Naraziłbym tem ciebie!

— A gdyby to było konieczne, gdyby cię osaczono?

— Zawsze jest jedno wyjście: śmierć.

— Nie mów tego, nie doprowadzaj mię do rozpaczy! Czem zasłużyłam na taką udrękę.

— Nie popełniłaś niczego, moja droga, ponad to, co ciąży na wszystkich ofiarach od dziesięciu lat wrącej walki stronnictw. W piękny nasz kraj wnieśli ludzie nikczemni zarodki zawiści, niezgody. Z tego posiewu wyrósł plon krwawy i trujący. Pół Francyi szarpie od dnia wybuchu rewolucyi drugą połowę, ta broni się zajadle, lecz, niestety, ulega! Ludziom tym wydarto mienie, stanowisko, wiarę, króla, a mimo to, podnoszą się z prochu, z ran i konania, by uderzyć w zwycięzców, a przedewszystkiem tego dosięgnąć, kto wcielił w znienawidzonej istocie tryumf bezprawia. Wszyscy, wszyscy jesteśmy ofiarami, my, klasa wydziedziczona, zdziesiątkowana, znieważona, gdybyśmy pogodzili się z poniżeniem. Lecz jeżeli się zbuntujemy, jeżeli po raz ostatni staniemy do walki, będziemy z ofiar, męczennikami. A idee, chwilowo zdławione, muszą tryumfować ostatecznie, jeżeli w ich obronie wystąpi zapał i poświęcenie męczenników. Nie dziw się przeto, że narażam życie, nie opłakuj mię, jeżeli je położę za sprawę. Lecz wspominaj z serca tego, kogo kochałaś. Cokolwiekbym uczynił, cokolwiekby mi zarzucano, choćby najcięższą zbrodnię, szanuj pamięć mą mimo wszystko, bo możesz być pewna, że działałem jedynie w obronie naszego Boga i króla.

Słowa te wydały się Emilii ostatnią prośbą Saint-Régeant'a, niejako testamentem, jęk był na nie odpowiedzią i te łzy obfite, co spływały po jej twarzy. Nie mogła pogodzić się z myślą o rozstaniu z tak pięknym, młodym, dumnym, tak ukochanym człowiekiem. Tuliła go do siebie, przyciskała rękoma, jakby przeczuwała, gdzie go ugodzi cios nieuniknony. On perswadował jej łagodnie, usadowił na swych kolanach, jak dziecko, serdecznie całował, byle tylko uspokoić. Skoro na ustach jej wykwitł powrotny uśmiech, rzekł:

— Nie gotuj mi jeszcze, najdroższa, mowy pogrzebowej. Wierzę mocno, że wywinę się z przeprawy. Tysiąc przyczyn, jedna silniejsza od drugiej, trzyma mię przy życiu. Chcę popierwsze, oglądać skutki mego czynu, i korzystać z nich, ile się da. Mam nadto przy sobie piękną panią, która nie słyszała odemnie jeszcze wszystkiego, co jej mam powiedzieć. A jest tego moc, i to rzeczy nie słychanie interesujących. Liczę, że spędzimy jeszcze we dwoje wiele, wiele chwil bardzo pięknych. Nie będę tak nieopatrzny, by się pozbawiać nadziei szczęścia.

— O, tak powinieneś mówić do mnie. Uspokój mię. Daj nadzieję, że ujrzę cię jutro, tak, jak dziś cię do serca cisnę.

— Bezwątpienia. Przyjdziesz jutro o tej samej porze?

Oczy Emilii zabłysły radością. Ufność wstąpiła w jej serce. Szeptał jej głos tajemny, a niezawodny, że Saint Régeant nie zginie, że ujrzy go jeszcze. Rzeć oparła na jego ramionach, a przenikając wzrokiem do głębi, odezwała się:

— Najdroższy, twoją jestem. Nie o sobie myśl, lecz o mnie i pamiętaj, że jeśli zginiesz, i ja niezwłocznie podążę za tobą.

— Szalona! Ucałuj mię i odejdź!

Uścisnęli się, Saint Régeant otworzył drzwi ścienne i wypuścił ją. Było to wpół do piątej. Oczekiwał chwilę, a gdy już był pewny, że jej nie ma, przeobraził się kompletnie, przybierając strój robotnika. Dolną część twarzy osłoniła ruda broda. Na głowę włożył czapkę z króliczej skóry. Pod ubranie ukrył pistolety i z całą ostrożnością przeszedł do kuchni modystki. Po chwili był już na ulicy i zdążał ku miejscu umówionego spotkania z Limoëlanem i Carbonem. Noc była ciemna. Szedł brzegiem, mostem Pont-Neuf przeszedł na drugi brzeg rzeki, upewnił się, że nikt go nie ściga i względnie spokojnie dotarł do Czerwonego Lwa. Zastał tam już Carbon'a i Limoëlana. Przed drzwiami zajazdu czekał wózek, zaprzężony w chudą siwą szkapę. W wózku leżał Carbon, głowę wsparłszy na zwoju pustych worów. Na brzegu chodnika siedział Limoëlan i palił spokojnie fajkę. Obaj zmienieni byli do niepoznaki. Ochrypłym głosem zagadał ich Saint Régeant:

— He — Franek — wino jeszcze nie wrze? Co tu właściwie robisz? Czy czekasz, żeby beczki same weszły na wóz? Nuże! Czekają tam na ciebie!

Natychmiast zerwał się Limoëlan, trzepnął w nogę Carbona i zawołał nań:

— Nuże, śpiochu, pilnuj wozka. Ja idę do piwnicy po beczki.

Na te słowa od muru odezwał się jakiś cień, przeszedł na drugi róg ulicy i krążył dokoła wózka. Po olbrzymim wzroście Saint Régeant poznał Soufflard'a. Czelnie zaczepił policyanta:

— Zdaje się, że będzie deszcz. Wino mi smakuje, a gospodarz powie, że dolałem doń wody.

Wybuchnął śmiechem i zerknął na agenta policyi, który wzruszył głową. Saint-Régeant podszedł do Limoëlana ze słowami:

— Szpicle dokoła nas. Gdyby ten drab chciał przyjrzeć się zblizka naszej robocie, palę mu w łeb za pierwszem poruszeniem. Ale wtedy nie pozostawałoby nam nic innego, jak uciekać co tchu.

— Mnie go zostaw. Trzeba spróbować odciągnąć go stąd. Jeżeli nie będzie już innej rady, wtedy dopiero trzeba go sprzątnąć. Ale nie inaczej, jak wewnątrz, w zajeździe, bez niepotrzebnego rumoru. Zbyt dobrze przygotowany nasz plan, by go w ostatniej chwili zaniechać. Szkoda.

Zeszli do loszku, gdzie pomiędzy beczkami wina i wódki stała i baryłka z prochem. Saint-Régeant miał sobie przez oberżystę zwierzony klucz, on też piwnicę otworzył i zapalił stoczek. Rozejrzał się wśród beczek, rozpoznał swoją i popchnął ją ku schodom. Za nią potoczył ćwiartkę wina.

— Cóż ty robisz? — zapytał Limoëlan.

— Dowiesz się zaraz. Wynieśmy naprzód wino.

Nie bez znacznego wysiłku udało się mu wywindować beczkę w górę, poczem wrócili po proch. Po wyjściu z piwnicy zaprzęgli się każdy do swej beczki i wywlekli je aż na ulicę.

— Oto i likwor — zachrypiał Saint Régeant. Możeby z nim zawrzeć bliższą znajomość?

Mówiąc to, spojrzał na Carbona, który odpowiedział:

— Niezły pomysł. Poproszę gospodarza o kieliszek.

— Niech Bóg broni! Miałbyś się z pyszna! A od czego świder? Uraczymy się prosto z beczki.

— Niech i tak będzie! Hopp! dźwignijmy beczki na wóz.

Wraz z Limoëlanem podniósł beczkę z prochem. Carbon zwrócił się do Soufflard'a, mocno zaintrygowanego tą sceną:

— Ruszcie się, towarzyszu.

Olbrzym chwycił beczkę oburęcz, dźwignął z ziemi i ułożył na wozie, za beczką prochu.

— A co! — zaśmiał się szeroko.

— Teraz — wasze zdrowie, przyjacielu!

Przerznął nożem deskę od brzegu, przebił dziurę blisko obręczy i zatrzymując płyn palcem, zaprosił:

— Wam, obywatelu, należy się pierwszeństwo!

Soufflard nachylił się, w usta rzucił mu się prąd wina; wtedy, spokojny już co do zawartości beczki, myślał jedynie o zadowoleniu łakomstwa. Pociągnął dobrą szklankę, poczem ustąpił miejsca Carbonowi i Limoëlanowi. Saint Régeant nie pił wcale. Wszedł do oberży by zabrać kurek strzelby, którym miał sprowadzić wybuch prochu. Umocowana doń rura żelazna i nabój zniknęły w długiej kieszeni. Zamienił jeszcze kilka słów z gospodarzem, który ściskał mu ręce. sam drżąc z lęku wysłuchał ostatnich zarządzeń zmierzających do zabezpieczenia towarzyszy, poczem Saint Régeant wyszedł na ulicę. Corbon i Limoëlan gawędzili przyjaźnie z dobrodusznym Soufflardem. Saint-Régeant'owi przeszło przez myśl: Gdybym nie był przedwczoraj sprzątnął Neufmoulina, gdyby tu był tamtem zamiast głupkowatego drągala, byłoby już po nas trzech. Dzięki Bogu, Neufmoulin już nam nic zrobić nie może.

Uderzył Limoëlan'a w ramię i rzekł:

— Cóż, zatkaliście beczkę? Wszystko w porządku. Ruszajmy w drogę, ku Bastylli!

— Co, do Bastylli idziecie? — zapytał Soufflard.

— Do kupca mebli na przedmieście Antoniego, który lubi dobre winko, o czem mogliście się sami przekonać! Hejże! Dowidzenia, miły towarzyszu! Wio! wiśta!

Uderzył chudzinę po zadzie i wózek, na który znowu wsiadł Carbon, powlókł się w kierunku Bastylli, a za wózkiem Saint-Régeant i Limoelan. Soufflard patrzył za nimi zgoła obojętnie i trwał dalej na posterunku śledczym przed Czerwonym Lwem. Za zakrętem ulicy Arbre-sec wózek, zamiast na lewo, skręcił na prawo, wprost do Palais-Royal. Ale tego agent już nie dostrzegł, dzięki ciemnej nocy i niedostatecznemu światłu latarni.

O tejże porze pierwszy konsul po całodziennej pracy z Cambaceres przyjął architekta Viscontiego. W toku była sprawa wykończenia Tuileryi. Drażnił go widok gromady domów przy ulicach Rohau i L'Echelle, na przekór prawom ładu i porządku. Chciał mieć otwarty prospekt na klasztory

Fenillant'ow i Kapucynów, zdemolować sąsiednią dzielnicę i poprowadzić przez Marais, na gruncie małych bagnistych uliczek aż do Bastylli. Potem obległa go Józefina i Hortensya i już przez godzinę przed obiadem nalegały na wydanie ostatnich rozporządzań. Trafiły na znośny humor:

— No cóż! upieracie się przy operze? — Trzeba wam dogodzić, i zrobić, czego chcecie. Trudniej dać sobie radę z kobietą niż z mężczyzną. Rozkażcie przygotować gotowe powozy. Pojedziecie ze swoim dworem, a ja zabiorę do swego powozu generałów Lannes i Bessieres, których na dziś zamówiłem. Zrobi im to wściekłą przyjemność. Zwłaszcza Lannes'owi, którego uważam za zdolniejszego do rozróżnienia kalibru ósmego od dwunastego, niż dźwięku fletu od basetli. Besieres zaś to Gaskończyk, w najlepszym razie meloman. Bądź co bądź z dobrej rodziny, gdy tymczasem Lannes... Ale za to — z Lannes'a bohater!

— Ubieramy się naturalnie paradnie, zauważyła Józefina.

— Tobie nie trudno być piękną.

Tak tedy czułe nalegania samej rodziny szły po myśli projektodawców zamachu na Bonapartego. W tej chwili, gdy pierwszy Konsul wydał ostatecznie przychylne rozporządzenie, na ulicę Saint-Nicaise wjechał wózek Saint-Régeant'a, Carbon'a i Limoëlana. Szczegółowe oględziny terenu kazały się spodziewać pewnego powodzenia. Droga, wiodąca z Tuileryi do Opery wiodła z placu Karuzeli przez ulicę Saint-Nicaise, przez ulicę de Chartres i de la Roi. Na rogu de Chartres był wnęk, jakby stworzony do ukrycia wózka. Na tem stanowisku miał Saint-Régeant czekać na znak Limoëlana, pozostałego na rogu Saint Nicaise, tu mógł doskonale wymierzyć w chwili, kiedy Konsul wychylił się z rogu Chartres. Przestrzeń była za krótką, by powóz, konie i eskorta ujść mogły wybuchu, sam Saint-Régeant niósł własne życie w ofierze. Słabą miał nadzieję ujść cało przed wybuchem. W suterenach pewnego domu o dziesięć tylko kroków za wózkiem, był sklepik łaciarza. Gdyby Saint Régeantowi udało się dać skok przez stale otwarte drzwiczki sklepiku, mógłby był cudem uniknąć śmierci. Obliczył tę ostateczną możliwość. Przemyśliwał nad nią, nie słabością wiedziony, lecz uczuciem. Chciał życie ocalić, nie dla siebie lecz dla Emilii.

Podzielił się z Limoëlanem swymi zamiarami. Dochodziła siódma. Ulice były prawie puste. Mieszkańcy Paryża schronili się przed chłodem czarnej nocy i grzali się przy ognisku domowem. Limoëlan zajął wyznaczony posterunek, Carbon czuwał na rogu placu Karuzeli. Saint Régeant ustawił wózek na rogu Chartres, siwka nakrył workami i przyłożył kurek do beczki. Wystarczyłoby mu nacisnąć cyngiel, by spowodować wybuch. Usiadł na chodniku i czekał z zimną krwią. Za sobą, w sklepiku słyszał śpiew dziecięcy.

Z wybiciem kwadransu na dziewiątą rozległ się tentent konnego oddziału; to kawalerya kłusowała przez ulicę Saint Nicaise do Tuileryi. Była to eskorta. Na ten zgiełk wyszło na ulicę kilka ciekawych osób. I śpiewające dziecko, córeczka łaciarza, wyszła z ojcowskiej sutereny i zbliżyła się do wózka. Ciekawie przyglądała się białemu koniowi. Odwołano ją do domu, natychmiast tam wróciła. Upłynął znowu kwadrans. Kilku przechodniów zatrzymało się. Jeden z nich zapytał Saint Régeant'a:

— Czy pierwszy konsul dziś wyjedzie? To jego eskorta minęła teraz ulicę, prawda? Gazeta donosiła, że ukaże się dziś w operze...

— Nie wiem o niczem — odpowiedział Saint-Régeant, który dałby wszystkie skarby świata za to, by nikt nie został na ulicy.

— Stąd będzie go dobrze widać, gdy będzie przejeżdżał.

— Lepiej w każdym razie na placu Karuzelu.

— Obywatel ma racyę. Chodźmy na plac.

Ulżyło to Saint Régeant'owi. Mimo to obok niego tkwiło uparcie kilku przechodniów i małe dziewczę z suteren wybiegło znów na ulicę. Stanęła przed siwkiem i głaskała go po nozdrzach.

— Idź stąd, mała — zawołał Saint-Régeant: nie zbliżaj się do konia, bo gryzie.

— Gdzież tam! On mię tylko liże! Zaśmiało się dziecko.

— Idź sobie w każdym razie. Tu nie ma dla ciebie miejsca.

— A dla pana? — odcięło się dziewczę.

W tej chwili posłyszał turkot, a Limoëlan rękę podniósł, jak było umówione, na znak, że czoło orszaku już się ukazało.

— Pójdziesz ty sobie! — z gniewem już zawołał Saint-Régeant. — A skoro dziecko, jakby osłupiałe z przerażenia, ani drgnęło na jego groźbę, podbiegł do niej i chciał ją rzucić wstecz. Wyrwała mu się, wołając: mamo!

Na ulicę Chartres wjeżdżało już dwu grenadyerów, którzy jechali przed powozem.

— Chcesz umrzeć, więc umieraj! — zawołał Saint Régeant.

Powóz pędził co koń wyskoczy, gdy Saint Régeant pocisnął cyngiel strzelby i jednym skokiem schronił się do suteryny. Całą dzielnicę wstrząsnął



Wózek, na który znowu wsiadł Corbon, powlókł się w kierunku Bastylli.

niezmierny wybuch. Pryskały szyby z rozdzierającym brzękiem, padały na bruk uliczny. W płomieniach i dymie padło kilkunastu widzów, rannych lub zmarłych, napełniając powietrze rozpaczliwym krzykiem. Dwóch jeźdźców z orszaku spadło z koni wprost pod karetę. Z wózka, siwka, beczek i dziewczynki została jedna bezkształtna masa. Krótką sekundę trwał cały dramat. W następnej chwili wjechał w ulicę de Chartres powóz konsula. Energiczna postać generała Lannes ukazała się w oknie pojazdu, a błyszczącemi oczyma objął natychmiast całokształt sytuacyi. Grzmiącym głosem rozkazał woźnicy: Galopuj. Woźnica ściągnął konie, eskorta zwartym pierścieniem otoczyła pojazd i wszyscy znikli pędem. Wewnątrz powozu zapytał Bonaparte, spokojny jak pod Marengo:

— Co to się stało, Lannes?

— Strzelono z armaty do powozu generała.

— Niemożliwe! Byłbym słyszał gwizd.

— W każdym razie, usiłowano zabić generała.

Bonaparte o siebie wcale się nie troskał, lecz rzekł:

— Bądź łaskaw spojrzeć, czy nie stało się nic mej żonie.

Bessieres wychylił się i odezwał się gaskońskim akcentem:

— Powóz pani Bonaparte jedzie za nami w porządku. Nic się nie stało.

— Dojedziemy do Opery. Tam rozejrzymy się w sytuacyi.

Tymczasem Saint Régeant'owi, skrytemu w suterynach łaciarza, wystarczyła krótka chwila do zebrania myśli. Wytrącony przez wybuch z równowagi, spostrzegł wreszcie, że leży jak długi na dolnych stopniach schodów. Podniósł się i w prawej ręce uczuł ból dotkliwy. Zaczerwienionemi, obezwładnionemi przez gryzący dym oczyma obejrzał rękę. Rękaw wierzchni odpadł zupełnie, u koszuli podarty był na strzępy, a przez nie widać było straszną ranę aż do kości. Krew strugą płynęła. Tuż pod łokciem rękę chustką przewiązał, by powstrzymać upływ. Rozejrzał się dokoła siebie. W sklepiku łaciarza nie została się żadna szyba. Meble poszły w drzazgi. Łaciarz leżał w kałuży krwi, pośród rozrzuconych narzędzi. Żonę jego śmierć zabrała siedzącą na krześle i w tej pozycyi zmarła została. Saint-Régeant powstał drżący z przerażenia, wszedł po kilku schodach, które go niewątpliwie uchroniły od śmiertelnego wstrząsu. Ze zgrozą spojrzał na nieszczęśliwe ofiary, które wiły się na bruku i wzywały pomocy. Już nadbiegła policya, straż tujleryjska zabrała się do dźwigania poległych. Jeszcze chwila i wszystko, coby zostało na miejscu zamachu będzie przedmiotem śledztw, badań, dochodzeń. Saint Régeant, który ranną rękę prawą podtrzymywał lewą przemknął się ostatnim wysiłkiem woli na ulicę Saint Nicaise, biegiem nieledwie dopadł Saint- Honoré i tam dopiero, uważając się za bezpiecznego, zatrzymał się w jakiejś bramie i rozmyślał nad sytuacyą. Co ma począć? Coby mógł zrobić? Czy wobec poważnej rany i znacznej utraty krwi będzie miał dość sił, by dostać się na ulicę du Dragon i ukryć u dobrej, oddanej Wirginii Grandeau? Czuł, że padnie w drodze. Czy będzie to upadek śmiertelny? Nie. Rana nie była śmiertelna. Gdyby padł, czekałoby go dostanie się pod opiekę przechodniów, odprowadzenie na posterunek policyi, a tam, oskarżenie o dokonaną zbrodnię, Mógłżeby znaleźć powozik i dostać się na ulicę du Dragon, lub choćby tylko na bulwar des Augustins? Lecz co powiedzieć woźnicy, któryby naprzód przez litość spytał o przyczynę rany, później badał dla zaspokojenia ciekawości, a nazajutrz opowiadał szeroko o tem i naprowadził interesowanych na ślad rannego. Nie. O innym należało myśleć sposobie ukrycia. Pozostawał jeden jedyny dom Lerebourg'ów. I tam nie byłoby niebezpieczeństwo zupełnie usunięte, lecz wiele trudności byłoby zniweiowanych. Przedewszystkiem było to niedaleko. Nie więcej, jak sto kroków dzieliło go od drzwi pod Błękitnym Kołpakiem. Przyjaźń męża gwarantowała gościnne przyjęcie, bezpieczeństwo zapewniało oddanie żony. Byle tylko przeczekać kilka dni, pierwsze chwile represyi, a potem do Bretanii, gdzie już był pewny siebie. Ponad troską o własne ocalenie górowała jednak myśl inna. Jaki wynik osiągnęło jego przedsięwzięcie? Czy wybuch pochłonął upatrzoną osobę, pierwszego konsula. Na miejscu wypadku, ani śladu jego karety. Konie padłe i żołnierze ranni wśród trupów. Saint Régeant'owi czasu brakło na oglądanie następstw wybuchu. Teraz zaś, w ciemnej ukryty bramie, gdzie dolatywały go nawołujące się zewsząd głosy, przesuwały się przed jego oczyma zwidziska placu, zaścielonego rannymi i martwymi, szamocącemi się w tumanach ciężkiego, nieruchomego dymu, i wciąż powracało gnębiące pytanie: „Czy dobrze poszło? Czy zabiłem go?“ Dwóch przechodniów, spieszących w stronę kościoła św. Rocha z miejsca zamachu, objaśniło rojalistę:

— Cudem uniknął śmierci! — mówił jeden.

— Widziałem, jak zajechał do opery. Powóz zwalany. Besieres krew miał na ubraniu. Idźmy stąd, idźmy. Nic dobrego nie spotka nas na ulicy. Aresztują na wsze strony...

(Ciąg dalszy nastąpi).



Kubelik w Galicyi: Znakomity skrzypek Jan Kubelik.

Kubelik w Galicyi.

Cztery lata minęło od czasu, kiedy wielki czeski czarodziej ostatni raz bawił u nas. W tym roku przybywa znowu i da się słyszeć w obu stolicach kraju w przyszłym tygodniu. Gwiazda Kubelika świeci ciągle najjaśniejszem światłem na współczesnym firmamencie wirtuozowskim. Jestto zawsze najbardziej niezwykły skrzypek, jaki istniał od czasów Paganiniego, olśniewający i porywający masy swoim kunsztem.

Nic dziwnego, że nawet w tych czasach niespokojnych przywabi także u nas tłumy.

„Za kulisami".

Taki tytuł nosi najnowsza powieść Mieczysława Guranowskiego, która wyszła nakładem księgarni Jana Fiszera w Warszawie. Autor, znany jako utalentowany nowelista, drukował swe prace w najpoczytniejszych dziennikach warszawskich. Powieść jego p. t. „Bigos", drukowana przed paru laty w „Kuryerze Porannym", doznała dużego powodzenia.

„Za kulisami", napisana barwnie i zajmująco, osnuta jest na tle stosunków teatralnych w Warszawie, Krakowie i Lwowie.

Kamienne miasto.

(Do illustracyi na str. 4).

Tripolitania wyniszczona wojną włosko-turecką zaczyna znowu powracać do normalnego życia. Z chwilą, kiedy w nękanym wojną kraju zapanował spokój, ułatwiony został dostęp do tego kraju, pełnego dawnych wspomnień historycznych i pamiątek. Tripolis w czasach rzymskich był przecież siedzibą wysokiej kultury, a świadczą o tem różne ruiny i architektoniczne zabytki.

Wśród wielu osobliwości zwróciło uwagę badaczy naukowych miasteczko Nalout. Leży ono w zachodniej części Tripolisu o 40 klm. drogi od Dehibat. Liczy około 4000 mieszkańców. Domy przeważnie wykute są w skałach lub urządzone jako podziemne mieszkania w olbrzymich grotach. Budowle te pochodzą z dawnych zamierzchłych czasów.

Przemyśl ku czci ks. Skargi.

W szeregu miast polskich, które uczciły jubileusz ks. Skargi, stanął w ostatnich dniach i Przemyśl, gdzie uroczystości jubileuszowe, rozłożone na dwa dni, miały przebieg bardzo podniosły. W sobotę 30 listopada nastąpiło uroczyste odsłonięcie tablicy pamiątkowej, jaką wmurowano na gmachu gimnazyum III przy nowo nazwanej ulicy ks. Skargi.



„Za kulisami": Mieczysław Guranowski, autor powieści p. t. „Za kulisami", osnutej na tle stosunków teatralnych w Warszawie, Krakowie i we Lwowie.

Cała ulica udekorowana była uroczyście chorągwiami i zielenią. Wobec tysięcy zebranej publiczności zabrał głos dr. L. Tarnawski, który przemówił imieniem miasta i dokonał aktu odsłonięcia tablicy pamiątkowej. Następnie ks. biskup Pelczar poświęcił tablicę, poczem przemawiał imieniem komitetu prof. Przyjemski. Z pieśnią na ustach rozeszli się uczestnicy uroczystości.

Na drugi dzień rano uroczystości rozpoczęły się sumą pontyfikalną w katedrze. Wieczorem zaś odbyła się w „Sokole" uroczysta akademia.

Udział publiczności w uroczystościach jubileuszowych był bardzo wielki.



Przemyśl ku czci ks. Skargi: Uroczystość odsłonięcia w Przemyślu tablicy pamiątkowej ks. Skargi w chwili przemówienia dr. L. Tarnawskiego (X). (Fot. M. Todt, Przemyśl).

Kronika tygodniowa.

Tyle już naopowiadaliśmy sobie nawzajem o wojnie, tyle napisaliśmy się o tem, że trzeba bodaj raz zrobić wyjątek i pierwsze miejsce poświęcić przepowiedniom paryskiej wieszczki, pani de Thébes, która, jak zresztą co roku, wygłosiła już część ich, reszta zaś ukaże się w almanachu, mającym za kilka dni opuścić prasę drukarską.

Sprytny wydawca owego kalendarza puszcza w świat najpierw kilka z nich lub kilkanaście, aby zaciekawić publiczność i zachęcić ją do nabywania słynnego „dzieła", które corocznie napędza ludziom dość strachu, a jemu sporo pieniędzy.

Zwłaszcza w ostatnich czasach sława pani de Thébes ogromnie się wzmogła, gdyż przepowiedziała na rok bieżący wielką wojnę i epidemię i, jak widzimy, nie pomyliła się wcale, bo Turek jęczy w opresyi, a cholera szerzy się prawie po całym już Bałkanie.

Tryumfuje więc paryska Sybilla, tryumfują jej zwolennicy, a najbardziej pono wydawca, który na rok 1913 „przepowiada sobie" jeszcze pokaźniejsze zyski i prawdopodobnie się nie zawiedzie.

Jak przystało, serya owych „próbek bez wartości", podanych ciekawej publiczności, wypowiedzianą została z odpowiedniem namaszczeniem, celem podniesienia nastroju i nadania im pewnej dozy tajemniczości, im bowiem styl jest bardziej niezrozumiałym, tem wygodniejsze to dla prorokini, albowiem naród może je sobie tak lub owak tłumaczyć.

I oto czytamy tam między innemi:

„Wielkie wzloty i porywy do spraw narodowych drżą już we Francyi tajemnie, lecz urzeczywistnią się dopiero w roku następnym. Rok 1913. będzie nosił miano jutrzenki, rok ten powiedzie Francyę na szczyty. Barwa jego od stalowej ciemności nocy poprzez światło słoneczne dojdzie do purpurowego rozkwitu, który poprzedzi dzień zwycięstwa.

Grozi Francyi niebezpieczeństwo wielkie i bezpośrednie, które powinno zjednoczyć serca i wolę Francuzów; od 21 marca 1913 do 20 marca 1914 dla Francyi zabłyśnie nowa era, era godzin wielkich i gorączkowych, strasznych i radosnych.

Era ta zakończy czas upadku. Ludność przestanie maleć, a złe myśli nie rozmiękczą tężyzny serc Francuzów. Księżyc stać będzie u zenitu na niebie i ukażą się znaki nieprzewidziane przez astronomów. Wpływ księżyca na ziemię w czasie cyklu marcowego będzie widoczny, spowoduje on różne zdarzenia dziwaczne i sprzeczne, w których tragizm zmiesza się z błazeństwem".

To jest rodzajem wstępu, następnie przechodzi pani de Thébes do poszczególnych przepowiedni i głosi, że rok 1913 ujrzy wzrastający wpływ kobiety...

Gdym to wyczytał, resztka włosów stanęła mi dęba na łysinie, westchnąłem ciężko i pomyślałem sobie:

— Mój Boże! Czego się też tym babom jeszcze zachciewa! Nie dość, że kręcą nami, jak im się podoba, znowu wpływy ich mają wzrosnąć... Miła perspektywa!

A moja magnifika, gdy jej te przepowiednie wpadły w rękę, choć starałem się je ukryć, przed nią, zawołała z tryumfem:

— No, a co?... Nie mówiłam?... My musimy raz przecież być na górze! Niech się już raz skończy wasza tyrania! Zapowiadam, że od pierwszego stycznia musisz mi dawać o sto koron miesięcznie więcej!

— Koteczku! — odparłem na to skromnie — ja nie wiem, czy wogóle od Nowego Roku nie zawieszę wypłat... Wszak wojna i moratoryum!

— Do bani z tą wojną! Wiedz sobie jednak, że jeżeli nie stanie się tak, jak sa sobie życzę, będziesz miał wojnę, ale taką, co ci bokami wylezie!...

Znam dobrze moją zacną połowicę i wiem dobrze, że mówi prawdę, położyłem też uszy po sobie i zamilkłem, jakie jednak życzenie skierowałem pod adresem pani de Thébes, każdy łatwo się domyśli, zwłaszcza, jeśli się znajdzie w tem samem, co i ja położeniu.

Mniej nas daleko obchodzi wróżba, iż rok 1913 ujrzy narodziny nowej Francyi. Paryż stanie się wzniosłym i straszliwym, a przed dwudziestym marca 1914 kraj znajdzie się w niebezpieczeństwie, a wojska francuskie bronić będą granic. Cesarz niemiecki nie wkroczy do Paryża jako zwycięzca, Włochy otrzymują możliwie nowego króla, stolica apostolska nowego papieża, w Anglii kobiety popierać będą młodego księcia... (chyba łatwo zrozumiałe!...) który wiele łez wyleje, zanim zasiądzie na tronie. Przyszłość Bułgaryi ma być nieprawdopodobna, o ile nie zostanie raptownie przerwana...

I wiele innych, mniej lub więcej tajemniczych proroctw odnosi się do różnych krajów i okoliczności, niestety żadne z nich nie powiada, czy skończy się raz już przecież ta ogólna golizna, na którą nawet księżka profesora Górki nie pomoże.

Że rok 1912 był rokiem prawdziwie feralnym, temu się ostatecznie nikt nie dziwił, kilkakrotnie bowiem wspominałem, że poprzeczna suma jego cyfr wynosi 13! Cieszyliśmy się, że skończy się ta mizerya w dniu Sylwestra, tymczasem widzimy, że i następny nie będzie lepszy, bo znów w ogonie ma tę fatalną trzynastkę! Jeśli zaś dodamy do tego jeszcze wynurzenia poczciwej babci de Thébes, nie powinniśmy roić różowych marzeń, ale pogrążyć się w owej „stalowej ciemności nocy", z której może przecież kiedyś „poprzez światło słoneczne dojdziemy do purpurowego rozkwitu, który poprzedzi dzień zwycięstwa"...

Mam tu na myśli poprawę stosunków materyalnych, te bowiem, w których żyjemy, są już wprost nie do zniesienia.

Drożyzna staje się z dnia na dzień większą, zaczynamy z konieczności obywać się bez najprymitywniejszych rzeczy i jeśli tak dalej pójdzie, trzeba będzie wogóle odzwyczaić się od jedzenia, palenia, picia i t. d., a pan inspektor od podatkowej śruby, choćby nią kręcił z podwójną siłą, nic z nas absolutnie nie wygniecie!

A sytuacya tego rodzaju jest następstwem owych pogłosek wojennych, które z każdym dniem przybierają formy coraz potworniejsze, nic też dziwnego, że naród trzęsie się ze strachu i urządza runy na kasy, bo nie wie, co mu jutro przyniesie.

I to nie tylko przeciętni śmiertelnicy postępują sobie w ten sposób, czytaliśmy bowiem, że nawet panowie posłowie, gdy im wypłacano dyety w parlamencie, żądali koniecznie złota, nie ufając papierom. Kasyer się skrobał w głowę, ale ostatecznie zrobił, jak żądali, bo z posłami to nie tak łatwa sprawa!

Ja tam nie wahałbym się wcale, wziąłbym nie tylko złoto, srebro, nikiel, miedź, lecz i papiery, cóż jednak pocznę, gdy nikt mi ich dać nie chce!

Próbowałem już, jak ów milioner, zacząć handel indykami, przekonałem się jednak, że nie mam do tego potrzebnej żyłki kupieckiej! Kupiłem mianowicie dwa, jak mi się zdawało wspaniałe okazy indyczego rodu i chciałem je z zyskiem odsprzedać swej żonie, by mieć bodaj kilka uczciwie zarobionych szóstek na własne wydatki, pokazało się jednak, że mnie oszukano. Straciłem na każdym prawie po koronie, a na dobitek żona oświadczyła mi, że z powodu moratoryum należytość uiści dopiero po wojnie...

Ponieważ zaś wojnę obecną przepowiedziała właśnie pani de Thébes i o to mam do niej urazę!

Kilka słów poświęcić wypada i sprawom bałkańskim, w szczególności zaś konsulowi Prohasce, który, jak się pokazało, żyje i jest zdrów, ale opowiada bardzo brzydkie rzeczy o postępowaniu wojsk serbskich. Traktowano go w ten sposób, jak jakiego bandytę, nie zaś przedstawiciela potężnego mocarstwa.

Pan Edl, który szukał Prohaski, przygotowuje sprawozdanie z podróży. Ministerstwo spraw zagranicznych przedłoży je, jako tak zwaną czerwoną księgę parlamentowi austryackiemu i sejmowi węgierskiemu i tam dopiero powstanie się odpowiednie decyzye; wszystkie na razie szerzone wieści przyjmować należy ze zastrzeżeniem.

Choćby się zresztą i wyklarowała sprawa Prohaski, to przecież między Austryą i Serbią trwać będą dalej nieporozumienia na tle portu na wybrzeżu morza Adryatyckiego. Z uporem, godnym lepszej sprawy, król Piotr postanowił w rocznicę swych urodzin wykąpać się we własnem morzu, wychodzi bowiem z założenia, że skoro mają morza Ferdynand, Symeon, Jerzy, a nawet Nykita, musi mieć także i on.

Jeśli więc nie jedna, to druga historya może stanowić *casus belli*, zwłaszcza, że Serbia, czując za plecami swemi potężnych przyjaciół, nadyma się do tego stopnia, iż lada chwila można się obawiać pęknięcia.

Niechaj jednak pamięta o tem, że sojusznikom i przyjaciołom zbyt ufać nie można, a przykład tego ma na stosunku Niemiec do Austryi, która zawsze z niedowierzaniem spogląda na „wiernego sojusznika" z Berlina.

Ilekroć Niemcy potrzebują tego, Austrya wyciąga dla nich własnemi rękami gorące kasztany z pieca, ilekroć sama jest w kłopocie, nie wie nigdy, czy może liczyć z tamtej strony na pomoc i poparcie.

I stąd to ta niepewność w postępowaniu austryackich kierowników polityki zagranicznej, którzy nie wiedzą, co począć w danej chwili, ale zarazem są przekonani, że wojny na dwa fronty podejmować nie należy, zwłaszcza, że się nie jest pewnym, czy ów sojusznik będzie „wiernie sekundował"... czy też może, jak zwykle, zostawi ich w sztychu.

A tu, jak na złość, cesarz Wilhelm zamilkł zupełnie, zamiast niego, natomiast odezwał się kanclerz Rzeszy, który zapewnił Austryę o wierności sojusznika i jego gotowości do boju. Wpłynęło to oświadczenie znowu na spadek kursów, świat przyjął, po raz nie wiem który, do wiadomości, że „sytuacya jest krytyczną i lada chwila należy się spodziewać rozwiązania".

Do niego wzdychamy nie tylko my, zwykli śmiertelnicy, którzy chcielibyśmy bodaj święta Bożego Narodzenia spędzić w spokoju, ale także i koronowani członkowie Związku bałkańskiego, nie mogący się w żaden sposób ze sobą pogodzić. Spór grecko-bułgarski przybiera coraz ostrzejszą formę, zdaje się, przyjdzie do tego iż Grecy na własną rękę porozumieją się z Turkami i wytargują dla siebie Kretę i coś tam jeszcze, Serbowie patrzą z pod oka na Czarnogórców, słowem stosunki, tamtejsze przypominają bardzo mrowisko, gdzie się kilka pokoleń mrówek ściera ze sobą, dopóki się wzajemnie nie wyniszczą.

A jaki będzie epilog?

Taki, że 1) Ferdynand nie będzie Symeonem i nie wjedzie do Konstantynopola, 2) zawieszenie broni, prędzej nawet, niż się spodziewano, zamieni się w trwały pokój, który jednak Turcya zawrze z każdym ze związkowców z osobna i przy tej sposobności każdego z nich oszwabi, wobec czego 3) *status quo* na Bałkanie, z wyjątkiem małych zmian terytoryalnych pozostanie niezmieniony, a o to właśnie dyplomacyi europejskiej się rozchodzi.

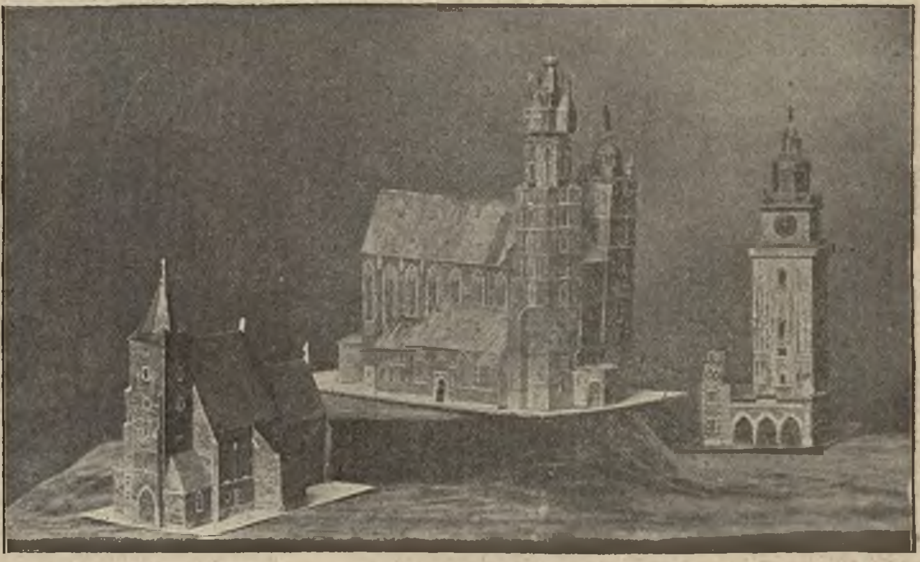
Polskie sklejanki.

Przed świętami ukazała się w handlu II-ga serya polskich sklejanek. I-sza serya obejmująca pomiątkowe budowle Krakowa, a mianowicie: Bramę Floryańską (L. 1.), Wieżę Ratuszową (L. 2.), Kościół Maryacki (L. 3 i 4.), Kościół św. Krzyża (L. 6.), a nadto Domek zakopiański (L. 5.) zyskały sobie ogólne uznanie. Arkusze odznaczające się doskonałym rysunkiem i wiernością oryginału, mają wybitną wartość pedagogiczną, gdyż nie tylko kształcą bystrość oka i zręczność, ale uczą także poznawać pomniki naszej przeszłości i łączące się z nimi wspomnienia historyczne.

Serya II-ga wykonana w znanej kliszarni „Nowości illustrowanych“ obejmuje chatkę z okolic Krakowa (L. 1.), Kapliczkę przydrożną (L. 2.), Tatrzański młyn wodny (L. 3.), Wiatrak (L. 4.) a wreszcie śliczne szopki: betleemską (L. 8.), w stylu krakowskim (L. 5.) i większą, oryginalną krakowską (L. 6 i 7.) opatrzoną tekstem, który umożliwia urządzenie przedstawienia szopkowego każdemu dziecku.

Pod względem artystycznym stoją obie serye sklejanek znacznie wyżej od zalewających nasz kraj wyrobów niemieckich. Wykonane kosztownym drukiem trójbarwnym są po sklejeniu ozdobą każdego pokoju. Malują je polscy artyści malarze, a wszystko od papieru począwszy a na kliszy skończywszy, jest polskie, powstaje i wyrabia się u nas. Połączone z temi zaletami przystępne ceny (tylko 40 hal. za arkusz seryi I-ej, a 8 hal. za arkusz seryi II). winne zyskać wydawnictwu jak najlepsze powodzenie. Nie powinno ich zabraknąć w żadnym polskim domu. Nabyć je można we wszystkich lepszych sklepach z papierem, wydawnictwem zaś kieruje spółka wydawnicza „Krak“, (Kraków, Andrzeja Potockiego 7.).





Jak zazwyczaj, tak i wczoraj, sprawiła sumienna i staranna Dyrekcya Teatru „Apollo“ odwiedzającym ten Teatr prawdziwą przyjemność niezwykłym i dotychczas u nas niewidzianym programem. Każdy szczegół programu jest pierwszorzędnym, tak iż nie wiadomo, który bardziej chwalić należy.

Na pierwszy plan wybija się klasyczny mimodram Effry-Off-Ney z teatru „Empire“ w Londynie, który pięknością i wdziękiem zachwycał oko widza. Dalej niezrównani akrobaci ręczni Les-Onras zadziwiali nadzwyczajną elegacyą swoich produkcyj, zaś znakomity duet murzyński Davis et Jambo porywał swoim temperamentem. Zasłużone oklaski zbierał polski kabarecista p. Wiktor Wolski, dziecko naszego grodu, który pięknym głosem i doskonałym akcentem dramatycznym wybija się z pośród śpiewaków kabaretowych. Największe uznanie zyskał swemi obrazami z życia apaszów paryskich.

Najlepszym zresztą dowodem zasłużonego powodzenia, jakiem się cieszy Teatr „Apollo“, jest to, iż mimo ogólnego zastoju, teatr jest stale wysprzedany.

Na uznanie zasługuje zniżenie ceny miejsc: I-sze 2·— kor. II-gie 1·— kor. Galerya 60 halerzy. Początek przedstawienia o godzinie 9 wieczór.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 47.

Trójkąt magiczny:

J a n K o c h a n o w s k i
A d m i n i s t r a t o r
N a u c z y c i e l k a
K o n w e r s a c y a
O ś m i o r n i c a
C h r z ą s z c z
H i m a l a j e
A m e r y k a
N a r w a l
O s i o ł
W a z a
S ó d
K n
I

Przysłowiówka: Nie urodzi sowa sokoła.

Szarada: Gładź drużkę, jak po duszy, a bij jak po szubie.

Logogryf:

Z
L a k
T o p a z
M a r a t o n
F a s k a
R y ś
w
D n o
S ł o t a
P r a w n i k
T r o j a
O ś ć
I r c h a
P e l i k a n
T r a w a
O c h
h

Szarada: Kapary.

Rebus: Dobre lub złe imię, oto wszystko, co pozostawiamy po sobie na świecie.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: E. Bogdalska Koropuż, D. Sedyńska Zakopane, E. Bezdek Kraków, W. Roland Kraków, S Limanowski Lwów, H. Wincencik Kraków, F. Gebhardt Kraków, M. Planecka Kraków, K Radoszewski Tarnobrzeg, S. Więckowska Warszawa, W. Nowacki Przemyśl, L. Berezowski Nowy Sącz, M. Toporowski Lwów, D Engelberg Rzeszów, K. Biesiadecki Tarnów, I Błachowski Szczucin, H. Górecka Janów, L Gruszczyńska Wadowice, J. Gajewski Tarnów, K. Trojacki Wiedeń, S Kozłowski Kraków, S. Sokołowski Rzeszów, I. Brzostowski Krosno, J. Strojek Tarnopol, M. Zaleski Czerniowce, M Krawecki Radomyśl, J. Gottwald Stanisławów, F. Orban Lwów, M. Kapalski Kraków, S. Raczyński Rzeszów, K. Kaim Kraków, M. Antosz Sanok. K Gadomski Zakopane, S. Korytowski Warszawa, J Wojciechowski Rzeszów, S Krzyżanowski Podgórze. S Karczmarski Poddebie, W. Lisowski Warszawa, M Scholz Rozwadów, R. Cegielski Poznań, S Wojakowski Petersburg, W. Kwaśniewski Opatów, F. Horak Oświęcim, R Majewski Tarnów, S. Dołęba Rzeszów, J. Borkowski Kielce, J. Kurek Wiedeń, J. Jakubowska Kraków, W Kowalski Lwów, L Bandrowski Częstochowa, S. Morgenstern Rzeszów, T. Kinalski Tarnopol, L. Ostrowski Petersburg, M. Orlińska Jaworów, H Lasocińska Lublin, K Fijałkowski Jasło, S. Bukowski Kijów, M. Kamocki Kalisz, R. Rojek Tarnów, S. Jaglarz Złoczów, J Różycka Lwów, S Czarkowski Śniatyn, J. Jahoda Cieszyn, Z Mazaraki Radom, S. Krynicki Częstochowa. S. Kowalówka Kraków, A Augustynowicz Lwów, L. Łapiński Warszawa, R. Link Lwów, M. Kadalski Oświęcim, C Warg Tarnobrzeg, Z Mianowska Lwów, K Galiński Sanok, M. Kruszelnicki Janów S Ścibor Mszana, R Bałuk Kołomyja, M. Samlicki Przemysl, H. Schwarz Warszawa, K. Malinowska Lwów, A. Gralewski Kraków, J. Wilczkiewicz Stanisławów, W. Fiala Lwów, P. Madejski Wiedeń, R Czernecki Lwów, M. Wyka Sambor, W. Ligęza Lwów, K. Arnatys Ulanów, J. Sadowska Poronin, G. Świrski Piotrków, D. Staniszewski Lwów, R Reich Łódź, S Lindenbaum Czerniowce, J Sperling Wiedeń, F. Blätterfeind Jaworów, E Dębiński Szczawnica, F. Schmidt Cieszyn H Kaliciński Radom, C Lipiński Kraków, J. Żyła Tarnów, T Chrzanowski Suwałki, L. Gruber Tarnów, A. Bliński Tarnopol, M. Wójtowicz Kraków, L Mróz Lwów, R. Zawadzki Tarnów, J Poppel Mińsk, W. Gliński Jaremcze, S. Karwowski Pilzno. K. Zegartowska Bogucice, R. Stumpf Stanisławów. K. Janik Drohobycz, S Mann Bochnia. I Wiewiórowski Warszawa, W Potocka Kraków. E Niestenberger Tarnów. J Langer Kraków, R. Aleksandrowicz Płock, A Trzeciak Krynica. A. Bernat Złoczów, S Stawarski Wiedeń, A. Siatka Kraków, A Dużak Kraków, S. Kozarski Sichów, M. Dobiel Krosno, M Zachara Zakopane, K Mizerski Płock. L. Maresch Lwów, F. Gottlieb Sambor, S. Bobrowski Lwów, T Nikiel Kraków, J Obraczay Morawska Ostrawa. J Cichoń Warszawa, T. Tichy Cieszyn, W. Piątek Podwołoczyska, J. Rosenbaum Rzeszów, J. Gans Suczawa, M. Klapholz Rzeszów, R. Obst Łódź, J Kopczyńska Bierzanów, K Radomski Lwów, J. Topolnicki Kamieniec, K. Zapałowicz Wilno.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **L. Gruber, Tarnów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Dla Polaków na obczyźnie. W Maria Zell, w kościelnym skarbu, znajduje się fotografia przedstawiająca, jak Ludwik węgierski zakłada kamień węgielny pod budowę tej sławnej dzisiaj świątyni. Umieszczony tam napis poucza, że fotografia ta jest reprodukcyą żywego obrazu, jaki arystokracya w Gracu urządziła swego czasu na dochód dotkniętych powodzią mieszkańców Szegedynu.

Przenosząc się myślą w dzisiejsze czasy przypuszczać się nie godzi, by arystokracya polska, a z nią społeczeństwo polskie nie czuło się poruszonem wieściami o istnej powodzi tych klęsk, któremi dotknięci, bądź to zagrożeni są wychodźcy nasi w stolicy Węgier: w Budapeszcie

Dlatego zawiązany pod protektoratem J. E. Ks Arcybiskupa Bilczewskiego komitet podnosi głos swój w ich obronie, prosząc o łaskawe nadsyłanie zbywających przedmiotów, mniej lub więcej wartościowych, celem urządzenia loteryi fantowej na dochód budowy kościoła polskiego w Budapeszcie. (Później będzie można postarać się o zaspokojenie innych potrzeb kolonii polskiej w Budapeszcie.

W każdym domu znajduje się wiele zbywających przedmiotów, a właśnie do takich rzeczy odnosi się ów znany mandat: „Z tego, co zbywa, dajcie jałmużnę“.

Przedmioty te fanty uprasza się nadsyłać pod adresem: Polnisches Kirchenbau Komitée in Budapest, X Kelemen utca 32, albo pod adresem Konsystorza łać. we Lwowie, plac Teatyński.

JULIAN MATERNOWSKI FRYZYER DAMSKI I MĘSKI

W KRAKOWIE, ULICA SŁAWKOWSKA L. 2

poleca osobne gabinety dla Pań elektryczne aparaty do suszenia włosów i masażu twarzy.

Nigdy w życiu więcej!

Koszula płócienna damska tylko K 1·95



z bogatym haftem, wspaniały fason, z guziczkami na karczku w różnych okrągłych, czworokątnych wycięciach do nabycia. **Pod gwarancyą że z płótna.** Z powodu zwinięcia wielkiego składu fakrycznego, do nabycia po tych bajecznie niskich cenach. **Przy odbiorze przynajmniej 3 sztuk po K 1·95.**

Wyłączna sprzedaż za zaliczką:

M. SWOBODA

Wien, III. Hiesgasse 13-X.

Administracya „Nowości illustrowanych"

odsprzedaje fotografie i klisze cynkowe

z każdego numeru po połowie ceny własnych kosztów.

Tylko K 15·—

Zgrabne sportowe i spacerowe żakiety dla pań I-szej jakości.



Nr. 452. **Piękne modne żakiety pończoszkowej roboty** (żakiet do golfu i saneczek) najnowsze fasony, 2-rzędowe z modnym wysokim kołnierzem stojącem (albo z kołnierzem wykład.) z najlepszej potrójnej przędzy wełnianej guziki z perłowej macicy, **kompletne długie i obszerne, kremowe, szare lub niebieskie K 15·—, 17·—.** Te same z paskiem **K 17·50, 19·50.** **Bez ryzyka!** Zamiana dozwolona lub też zwrot pieniędzy! — Wysyłkę uskutecznia za pobraniem

C. i k. nadworny dostawca **Hanns Konrad w Brüx Nr. 4127 (Czechy).**

Główny katalog z 4000 rycin na żądanie darmo i opłatnie.

Józef Winkler i Synowie

specyalny dom wysyłkowy i fabryka wyrobów skórkowych waliz, kufrów i torb skórzanych

Wiedeń I/7, Himmelpfortg. 7.



Znakomite! Trwałe! Ceny bez konkurencyi. Katalogi darmo i opłatnie. Wysyłki odwrotnie.

Ani przeciwników, ani rywali

nie mają tutki cygaretowe „Framos". Palą się lekko i równo, a co najważniejsze, że dym ich jest niezwykle łagodny i chłodny. — I nic dziwnego — albowiem bibułka jest zrobiona z najdelikatniejszych włókien liści morwowych, przy zastosowaniu najnowszych zdobyczy chemii i techniki. A przytem ów wynalazek mój, a zarazem i tajemnica, jakim jest **„Wata Salvesol"**, umieszczona w ustniku, własności te podwyższa i potęguje. **„Framos"** nadaje się do tytoni lekkich i szlachetnych, mniej do średnio mocnych, wskutek swego nader delikatnego włókna roślinnego.

Przy zakupnie tutek żółtych — **proszę uważać**, czy na pudełku jest słowo **„Framos"** i moje nazwisko, bo tylko te — **są pierwszej jakości.**

Do nabycia we wszystkich trafikach.

Mr. W. BEŁDOWSKI

Fabryka Tutek i Bibułek cygaretowych w Krakowie.

2

Najmilszym podarkiem dla dziecka na Boże Narodzenie



jest obok umieszczona koszula nocna **„Schlafwohl"** z białego zdrowego materyału i przez lekarzy polecona; **ochrona przed zaziębieniem.**

Żadna z pań nie powinna zapomnieć

przed zakupnem prezentów gwiazdkowych o naszej **okazyjnej kollekcyi próbek** wełnianych i materyi do prania, po **znacznie zniżonych cenach**, jak również o wspaniałym **katalogu na Boże Narodzenie** zawierającym setki odbitek, prezentów użytkowych, zabawek etc.

Wysyłka całkiem bezpłatnie.

65 cm. dł.	K 3·25
75 „ „	„ 2·75
85 „ „	„ 4·25
95 „ „	„ 4·75
105 „ „	„ 5·25

„Grand Magasin" Au Prix Fixe

Wien. I. Graben 15/7.

Wejście od ul. Habsburgergasse 1.

Do Ameryki i Kanady



przeprawia najlepiej

Linia Kunard we Lwowie, ul. Gródecka 99.

Cena przeprawy z Tryestu do N. Yorku III. kl. od osoby dorosłej **K 180·—**, dzieci poniżej lat 12 **K 90·—** plus Kor. 20·— podatku amerykańskiego od osoby.

Odjazd z portu **w Tryeście: Pannonia:** d. 5 grudnia 1912, **Franconia:** d. 18 grudnia 1912. **Pannonia:** d. 20 stycznia 1913

z Liwerpolu: Lusitania: (najszybszy i najwspanialszy parowiec świata) dnia 14|12 1912 r., 4|1, 25|1 1913 r.

Mauretania: dnia 7|12 1912 r., 11|1, 1|2 1913 r.

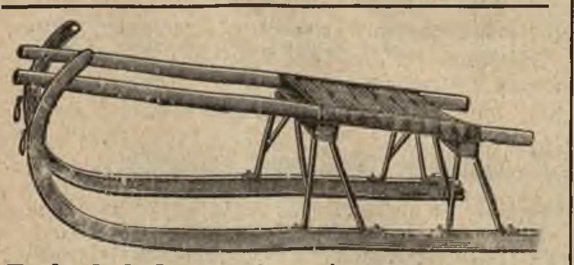
Skarbem

prawdziwym dla cierpiących na następstwa błędów młodości jest słynne dzieło ilustrowane **Dra. Retau'a Ochrona własna** Nowe wydanie polskie. K. 2.—

Niechaj czyta je każdy doznający na sobie skutków takich nałogów. Do nabycia przez **Verlags-Magazin, Leipzig,** Ritterstr. 4 (w Lipsku, w Saksonii), jakoteż przez każdą księgarnię.

Dla techników

Stanisław ABL Lwów, Sykstuska 3



Bobsleigh ze stali — z konstrukcyą mieszaną, uznane jako pierwszorzędny fabrykat, dostarcza fabryka spec. wyrobów dla sportu zimowego „Moravia" Val. Jadrníčck'a Syn, Fryšták Nr. 16 koło Holešowa. (1)

Przeszło 80 modeli. Ubrania sportowe wełniane.

Proszę zażądać cenników Nr. 35.

Codziennie



pojawiają się nowe specyalne środki na cerę: są to prawie zawsze szminki. Tylko **Crème Simon** nadaje cerze naturalną świeżość i piękność. Naprzekór wszelkim naśladownictwom jest od 50-ciu lat na całym świecie sprzedawanym. **Puder de riz i mydło Simon** dopełniają hygienicznego działania tego kremu. 1

Kto nie wie

co ma kupić swoim znajomym na prezent ślubny, na imieniny, na Gwiazdkę, lub przy innej sposobności niech zajrzy do mego **głównego katalogu** z 4000 rycin, w którym każdy coś odpowiedniego znajdzie, a który na żądanie każdemu darmo i opłacony wysłany zostanie.

C. i k. nadw. dostawca

Hanns Konrad

Brüx Nr. 4159 (Czechy).

Zegarki niklowe	K 4·20, 5·—
Budziki niklowe	K 2·90
Zegary wahadłowe	„ 8·50
Harmonie	„ 5·—
Skrzypce	„ 5·80
Rewolwery	„ 6·—

„LUMETTA" najtańsze światło na świecie



Zużywa w 40 godzinach tylko za 2 halerze nafty, przeto niezbędne w każdem gospdarstwie i może być użyte jako lampka nocna, do oświetlania sieni, piwnic, a także do iluminacyi i celów dekoracyjnych. Nr. 9490 1|2 z szklanem naczyniem na naftę, z palnikiem, który można szczelnie wśrubować i barwnie zapuszczanym daszkiem z materyi, około 15 cm. wysoka za **sztukę K 1·—. 10 sztuk naraz K 8·50.** Nr. 9513 „Lumetta" z kolorowym szklanym daszkiem za **sztukę. K 1·20. 10 sztuk naraz K 10. —.** Wysyłkę uskutecznia za poprzedniem nadesł. należytości i kosztów przesyłki lub też za zaliczką **c. i k. nadw. dostawca.**

Hanns Konrad dom wysyłowy w Brüx 4132 (Czechy).

Bogato illustr. katalog główny z 4000 rycin darmo i opłatnie

Wskutek powiększenia **Zmiana lokalu!** NAJNOWSZE MASZYNY ELEKTR.

Eugeniusz Maryan UNGER

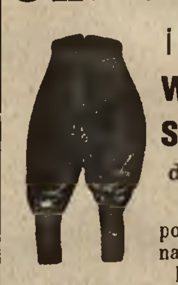
LWÓW Akademicka 7 Dom tow. muz.

WŁASNEGO WYROBU Pieczęcie kauczuk. i met. HERBY. Napisy. Medale ODZNAKI em. Monogramy

---

Uniformy

i specyalny **wyrób spodni** do jazdy konnej



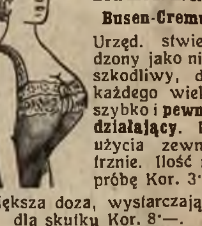
poleca po cenach umiarkowanych

Zakład uniformowy ANTONI MOTTL Kraków, ul. Wiślna 9.

Pewny skutek

lub zwrot pieniędzy **przez lekarzy zaopiniowany** jako znakomicie działający

Jędrne piękne biusta



otrzyma się przez użycie **Dra med. A. Rix Busen-Cremu.**

Urzęd. stwierdzony jako nieszkodliwy, dla każdego wieku szybko i **pewnie działający.** Do użycia zewnętrznie. Flaszka na próbę Kor. 3·—

Większa doza, wystarczająca dla skutku Kor. 8·—. Dra A. Rix kosm.-laborator. **Wiedeń IX, Berggasse 17 F.**

Wysyłka pod ścisłą dyskrecyą Składy w Krakowie: Apteka Wiszniewskiego, ulica Floryańska 15; Reim i Ska, Rynek gł. 37.

Jako podarek okazyjny

nadają się doskonale moje

skrzypce dla uczniów i orkiestry

wraz z smyczkiem i futerałem tylko K 12·—

K 12·—



Skrzypce są prawdziwego wyrobu czeskiego i cieszą się z powodu doskonałej jakości, ogromną wziętością. Skrzypce wraz z odpowiedn. smyczkiem, drewn. futerałem, kalafonią, okryciem zapasowem, podstawką, stroikiem wysyła się po następ. cenach: Nr. 123 dobrze strojące 3|4 skrzypce dla małych uczniów, kompl. w czarnem pudełku **K 12·—.** Nr. 124 1|2 dobre 4|4 skrzypce dla uczniów kompl. z czarnym futerałem **K 13·—.** Nr. 125 lepsze 3|4 dla małych uczniów kompl. z czarnym futerał. **K 14·—.** Nr. 126 1|2 lepsze 4|4 skrzypce o silnym głosie kompl. z czarn. futerał. **K 15·—.** W doskon. wykończeniu po: **K 16·—, 17·—, 20·—, 25·—, 32·—.** Opakowanie i pudełko drewniane 70 hal.

Bez ryzyka! Zamiana dozwol. lub zwrot pieniądzy.

Wysyłka za pobraniem przez **c. k. nadw. dostawcę**

Hannsa Konrada Dom wysyłkowy dla wyrobów muzycznych

w Brüx Nr. 4111 (Czechy).

Katalog główny z 4000 rycinami wysyłamy na żądanie każdemu darmo i opłatnie.

Najlepsze czeskie źródło!

TANIE PIERZE



1 klg. szarego, dartego kor. 2, lepszego gat. K 2·40, najlep. gat. nawpół białego K 2·80, białego puchowego K 5·10, 1 klg. śnieżnobiałego dartego w najl. jakości K 6·40, K 8, 1 klg. szarego puchu K 6 7, białego K 10, najl. puchu brzusznego K 12.

Przy odbiorze od 5 klg. wysyłka franko.

Gotowe pierzyny z grubonicianego czerwonego, niebieskiego, białego lub żółtego inletu (Nanking), 1 pierzyna 180 cm. dług. 120 cm. szer. z dwoma poduszkami każda 80 cm. dług. 60 cm. szer., dostatecznie wypchane nowem, szarem, czyszczonem, jędrnem i trwałem pierzem K 16, półpuchem K 20, puchem K 24, sama pierzyna K 10, 12, 14, 16, poduszka K 3·—, 3·50, 4·—, pierzyny o 200 cm. dług. 140 cm. szer. K 13, 14·70, 17·80, 21, poduszki 90 cm. dług. 70 cm. szerok. K 4·50, 5·20, 5·70. Podściółki z mocnego gradlu 180 cm. dług. 116 cm. szer. K 12·80. 14·80. — Wysyłka za zaliczką, od 12 kor. z bezpłatnem opakowaniem. — Zamiana dozwolona, za nienadające się zwracamy pieniądze. — Dokładne cenniki darmo i opłacone.

S. Benisch w Deschenitz Nr. 757 (Czechy).

Niezrównany

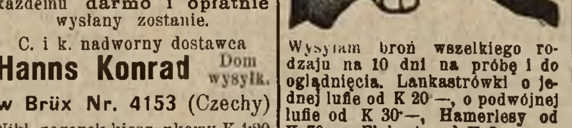
jest wybór tanich i dobrych przedmiotów użytkowych i podarków wszelkiego rodzaju w moim **katalogu głównym** z 4000 odbitek, który na żądanie każdemu **darmo i opłatnie** wysłany zostanie.

C. i k. nadworny dostawca

Hanns Konrad Dom wysyłk.

w Brüx Nr. 4153 (Czechy)

Nikl. zegarek kieszonkowy	K 4·20
Zegarki srebrne	„ 8·40
Niklewy budzik	„ 2·90
Zegary pendułowe	„ 8·50
z kukułką	„ 8·50
Harmonie K 5·—, skrzypce	„ 5·80
rewolwery K 6·—.	



Wysyłam broń wszelkiego rodzaju na 10 dni na próbę i do oglądnięcia. Lankastrówki o jednej lufie od K 20·—, o podwójnej lufie od K 30·—, Hamerlesy od K 70·—, Floberty od K 8·—, rewolwery od K 5·—, pistolety od K 2·— wzwyż. Illustrowane cenniki darmo. **Fr. Dušek, fabryka broni Opočno Nr. 2062** przy drodze kolei państwowych (Czechy).

Która z Pań!

chce mieć piękne rumieńce, niech używa (mleka z róż)

Lait des Roses

z instytutu physiopla-stycznego w Paryżu. **Cena flaszeczki w kartonie Kor. 2·50.**

Główny skład na Austro-Węgry: Mr. Leszek Sładowski, Lwów

Wszędzie do nabycia w aptekach i drogueryach.

Zawiadamiam

P. T. Publiczność, że dnia 20 stycznia 1912 **otwarty został**

HOTEL MONOPOL

wraz

z Kawiarnią i Restauracyą

w Krakowie, przy ul. św. Gertrudy 6, tel. 405

dawniej **(Hotel Kleina).**

Hotel położony jest tuż naprzeciw plant obok głównej poczty, niedaleko przystanku kolei elektr. Pokoje świeżo odrestaurowane i na nowo z najwyższym komfortem urządzone. Światło elektryczne. **Ceny przystępne.**

Z wysokiem poważaniem

Zygmunt Billet.

PSY

wyszukane, piękne okazy dostarcza niezawodnie

TYLKO

Canisport w Pradze, Klamovka Nr. 3.

Najlepsze referencye! Ill. cennik darmo!

Wspaniały album psów K 1·— za poprzedn. nadesłaniem.



Czystej rasy, najpiękniejsze, najtańsze **PSY** od najmniejszych karzełków do największych olbrzymów

dostawca światowej sławy **Haffnera hodowla psów Wrszowice-Praga.**

Illustrowany cennik psów 20 hal. markami.

Ze świata kobiecego.

Jeszcze karnawał.

W charakterze sukien balowych, które noszone będą w tym karnawale wybija się bardzo wybitnie jedna cecha, mianowicie moda bardzo ściśle rozróżnia między sukniami, jakie nosić mają młode panienki, a tymi, jakie służyć mogą dojrzalszym niewiastom. Różnica polega nie tylko na fasonie, ale



Suknia balowa z brokatu, zrobiona nowomodnym sposobem owinięcia materyi około figury.

także i przedewszystkiem na jakości i kolorze materyi, z której suknia jest sporządzona. Fason *Princesse Lamballe* oraz *Botticelli*, wreszcie pachnące i delikatne sukienki gazowe zwyciężyły na całej linii u naszych nowicyuszek balowych. Rzecz prosta, iż kolor sukni winien być biały. Także kwiaty użyte do ozdoby sukni mają przedewszystkiem biały kolor. „Mało ozdób a wiele kwiatów“ oto dewiza postawiona przez modę dla panienek, które w tym sezonie karnawałowym po raz pierwszy wejdą w wir dużego świata. Młodość sama bowiem jest już ozdobą, nad którą nie ma piękniejszej, a tem lepiej się wyda w im prostsze ramy będzie ujęta.

Bywalczynie karnawałowe natomiast nie stroją się w biały kolor, chyba, że mają specyalne w tym kolorze upodobanie. Mężatki na suknie balowe mogą używać aksamitu, białego brokatu lub złotej materyi jedwabnej. Staniki przybierane są zwykle w piękne upięcia z koronek *malines*, lub haftów białych lub złotych albo kolorowych.

Widziałam bardzo ładną toaletę z aksamitu, upiętą nowomodnym sposobem w spowicie. Stanik przybrany był srebrną koronką. Rozcięcie spodnicy u dołu wykończone było złotym haftem, który również zdobił karczek.

Inna znowu suknia zrobiona była z różowo-srebrnego brokatu, na który narzucona była tiunika z koronek rozcięta z boku i spięta pięknymi agrafkami.

Bardzo modnemi są materyały pośrednie między aksamitem a pluszem zwane *velours du Nord*.

Widziałam toaletę zrobioną z czarnego takiego materyału. U stanika rękawki zrobione były jeden z białego tiulu, drugi z czarnego tiulu z białym podkładem. Przód stanika przybrany był białym tiulem, a rozcięcie spodnicy podszyte było białą *crepe de chine*.

Toalety stanowiące kombinacyę białego koloru i czarnego są i w tym sezonie modne. W dzisiejszym numerze podaję illustracyę bardzo modnej, a taniej sukni balowej. Krój jej jest t. zw. spowiciem. Materya nie jest przykrawaną, ale po prostu owiniętą ukośnie w koło figury, a tem samem nie jest psutą i może być potem dowolnie przerabiana. Z lewego boku spodnica jest rozcięta u dołu i ozdobiona jakiemś przybraniem. Zręczna krawcowa powinna umieć upiąć tę suknię w ten sposób, aby spodniczka ze stanikiem stanowiła całość t. j. aby szmat materyi zaczynał się na staniku i obiegał w koło kilka razy aż do dołu spodnicy.



Suknia spacerowa z czarnego aksamitu, przybrana białą gazą.

W zakończeniu dzisiejszego artykuliku pragnę kilka słów dodać w sprawie zapytań, jakie z kilku stron otrzymałam, dlaczego w „Nowościach Illustrowanych“ wybieram illustracye sukien nieraz bardzo bogatych. Otóż muszę zwrócić uwagę Szanownych moich Czytelniczek, że w doborze modeli, jakie podajemy kieruję się względem, nie na materyał, z jakiego owe suknie są zrobione, ale względem na fasony sukien.

Każda z Czytelniczek, jeśli chce zrobić sobie suknię według wzorów przez nas podanych, powinna sama dobrać sobie odpowiednie materye, z jakich suknia ma być zrobiona. Odpowiednio do możności finansowej wybiera się jakość materyi, a zadaniem moich uwag i illustracyi ma być tylko dostarczenie



Kostyum zimowy, spodniczka podpięta z prawego boku, u dołu rozcięta.

wzorów odpowiednich fasonów, oraz podanie, co i jak w danej chwili stosownie do mody może być noszone. A wybór należy już do Szanownych Czytelniczek. *W.*

LEON SAZIE.

ZIGOMAR

STRASZLIWY BANDYTA.

19

— A to dlaczego?

— Dlatego, że w jednym z wagonów toczy się walka.

— Walka?

— Jestem, jak ci mówiłem, Paulin Broquet...

— Detektyw?

— Tak.

Nie wierząc jeszcze maszynista spojrzał niespokojnie na detektywa.

— Pan jest Paulin Broquet? Pan?

— Tak. Nie masz się więc czego obawiać. Widzisz przecież, że jestem na waszej łasce i proszę, żebyście mi pomogli.

— Dobrze — odparł maszynista, prawie przekonany, zobaczymy.

Poczem zwrócił się do palacza.

— Daj spokój temu człowiekowi, ale nie spuszczaj go z oka.

— Doskonale! — zawołał z uśmiechem Paulin Broquet. — Można was tu napaść, a nie macie żadnej broni... Mogę wam dać swój rewolwer.

Podał go palaczowi.

— Jeżeli zrobię jakie podejrzane poruszenie — strzelaj!

Palacz wziął rewolwer, a detektyw zapytał maszynistę.

— Dałeś sygnał na alarm, tak?

— Tak?

— Służba, podróżni zbierają się tu... Nie macie się czego obawiać. Więc zatrzymaj pociąg.

— Przy takiej szybkości, trzeba być ostrożnym.

— Czyż żaden z was nie słyszał sygnału w pociągu?

— Nie — nie było żadnego sygnału.

— To dziwne... Ale w każdym razie hamuj... hamuj...

Muszę przejrzeć linię za pociągiem.

— Poco?

— Ścigałem bandytę po dachach wagonów.., przy wjeździe do tunelu został zabity — muszę znaleźć jego ciało...

W tej chwili na stopniach lokomotywy ukazał się człowiek.

— A! pan tu, panie szefie — zawołał wesoło. Cały? Zdrów?

— Cały, mój chłopcze!

— Ach! brawo! brawo!

Był to l'Amorce, który skacząc ze stopnia na stopnie — dostał się na lokomotywę,

— Dlaczego nie zatrzymaliście pociągu? — zapytał Paulin Broquet.

— Ależ, panie szefie — ciągnąłem za wszystkie rączki sygnałowe — żaden nie działał.

— Popsuto je.

— Tak jest, panie szefie. Pozamykali też drzwi od wagonów, dlatego musiałem obrać tę drogę, żeby się tu dostać.

Tymczasem maszynista, przekonany już w zupełności, hamował stopniowo pęd pociągu i wreszcie zatrzymał go. Konduktorzy, urzędnicy pocztowi, zbiegli się natychmiast do parowozu. Podróżni, zaniepokojeni dopytywali, co się stało i rozpoczęli narzekania na zarząd kolei. Ale nad tym całym gwarem, nad krzykiem wystraszonych i rozgniewanych podróżnych, nad świstem maszyny dominował grzmiący głos kapitana La Rochardie.

ROZDZIAŁ LIII.

Zielona raca.

La Rochardie stał na tylnej platformie wagonu. W chwili gdy pociąg począł zwalniać biegu, zobaczył jakiegoś człowieka, który chyłkiem przemknął się koło niego i wyskoczył na tor. Kapitan domyślił się w nim bandyty, jednym susem skoczył na ziemię i rzucił się na uciekającego, W tej chwili jednak z platformy zeskoczył jeszcze jeden człowiek i przyszedł z pomocą napadniętemu. La Rochardie nie cofnął się i począł walczyć z obu przeciwnikami. Dzielny kapitan nic nie robił po cichu, a im zaciętszą prowadził walkę, tem głośniej krzyczał. Walka ta jednak mogła się źle skończyć, ukazał się trzeci bandyta ze sztyletem w ręku. Zamierzył się i chciał pchnąć kapitana w plecy. Ale w tej chwili runął jak kłoda na ziemię. To Montgomery, przybywszy w sam czas na pomoc swemu przyjacielowi, wymierzył bandycie potężny cios pod brodę, waląc go na ziemię. La Rochardie walczył tymczasem dalej rozdzielając na prawo i na lewo uderzenia pięści, którą wymachiwał jak szablą. Powalił jednego z przeciwników na ziemię, ale ten, padając, nie stracił przytomności. Pochwycił kapitana za nogi i pociągnął za sobą. La Rochardie wydał okrzyk wściekłości i upadł. Podniesiono go natychmiast i odprowadzono do wagonu, gdzie już znajdowali się Simonet i Montgomery.

— Pilnujcie panowie Simonet'a — rzekł żywo Paulin Broquet, zaglądając do przedziału. — Pilnujcie go dobrze. Do widzenia!

Pociąg ruszył, unosząc trzech przyjaciół, kilku ludzi z brygady Paulin Broquet'a i dwu bandytów starannie związanych i zamkniętych pod strażą w wozie towarowym.

Paulin Broquet ze swymi pomocnikami począł przeszukiwać tor kolejowy w nadziei, że znajdzie jakiś ślad po zamaskowanym bandycie, zrzuconym z dachu wagonu. Oddział detektywa szedł szybko w stronę tunelu de Bonnières, posługując się wielką latarnią, wziętą z pociągu. Od tunelu oddzielała ich przestrzeń około trzech kilometrów.

— Wypuść racę — rzekł Paulin Broquet do Gabryela. — Po chwili smuga światła przecięła czarne tło nieba, raca pękła w górze z hukiem i posypał się deszcz gwiazdek. Był to umówiony znak dla drugiego oddziału pomocników detektywa, którzy wyjechali z Paryża automobilem i mieli jechać aż do Rouen, gdyby po przejściu pociągu przez tunel detektyw nie dał żadnego znaku. Automobil prowadził Sidi. Gdy Paulin Broquet zbliżał się już do tunelu, w ciemnościach nocy zabłysła druga raca, koloru zielonego.

Detektyw zatrzymał się, zdziwiony.

— Co to znaczy? — zapytał.

— O! panie szefie! — odparł ze śmiechem Gabryel — pan wie, że Sidi potrafi się zdobyć zawsze na jakąś sztuczkę. Wypuścił tę racę, żeby dać panu znać, że zrozumiał sygnał i że czeka.

Paulin Broquet nie zdawał się być przekonanym i ruszył pospiesznie naprzód. Gdy wchodził do tunelu usłyszał charakterystyczny huk, odwrócił się i ujrzał jeszcze jedną zieloną racę, wypuszczoną mniej więcej w tem miejscu, gdzie zatrzymał się przedtem pociąg.

— Doskonale! — rzekł detektyw — to są ich sygnały. Dążą za nami, chcą nas otoczyć.

— Panie szefie — zaproponował Gabryel — a gdybyśmy tak zamiast iść tunelem, gdzie narażamy się na wielkie niebezpieczeństwo — gdybyśmy go obeszli?

— A jeżeli trup znajduje się w tunelu! — odparł detektyw. — Myślisz, że przyjdzie do nas, gdy go zawołamy?

Nie można było na to nic odpowiedzieć.

— Macie broń, chłopcy? — zapytał Paulin Broquet.

— Tak jest, panie szefie.

— Dobrze. W drogę więc!

W milczeniu weszli do tunelu. L'Amorce idąc obok detektywa oświetlał wnętrze tunelu ogromną latarnią. Tunel był długi. Lada chwila można było spodziewać się napadu z przodu lub z tyłu. Paulin Broquet wiele ryzykował, udając się w tych warunkach na zbadanie tunelu. Ale obawy były próżne, nikt nie miał zamiaru napadać na detektywa i jego ludzi. Przed samym wylotem tunelu Paulin Broquet zatrzymał się i rzekł do L'Amorce.

— Poświeć no tu, mój chłopcze!

L'Amorce zbliżył latarnię do wskazanego miejsca i natychmiast wszyscy zawołali:

— Krew!

Paulin Broquet milczał, ale oczy jego rzucały dziwne błyski. Na jednej z szyn i obok na drewnianym podkładzie widać było czerwoną plamę krwi, ślad ten ciągnął się dalej o kilka metrów.

— Ta krew spłynęła tu z dachu wagonu, a więc ten człowiek został zraniony. Musimy znaleźć ciało.

Zwrócił się do wyjścia tunelu.

— Świeć, mój chłopcze, świeć — mówił do L'Amorce. — Uderzenie odrzuciło zapewne ciało dalej... Szukajmy!

Nic jednak nie znaleźli, pomimo starannych poszukiwań.

— Jednakże — rzekł Paulin Broquet, powracając do tunelu — jednakże tu się uderzył o sklepienie.

Mówiąc to patrzył w górę. Nagle wydał okrzyk zdziwienia, porwał latarnię i oświecił nią szczyt sklepienia u wejścia do tunelu. Trzepotała się tam uczepiona do rosnących między kamieniami krzewów, jakaś czarna szmatka. Gdy pierwsza chwila zdumienia minęła, ludzie detektywa, nie czekając na jego rozkaz, stając sobie wzajemnie na ramionach, zdjęli ten dziwny przedmiot. Był to kawałek czarnej jedwabnej materyi, zbroczony krwią. Paulin Broquet rozwinął go, wówczas ukazały się dwa okrągłe otwory. Była to więc maska bandyty, którego ścigał po dachach wagonów detektyw. Krew była dowodem, że bandyta został zabity lub conajmniej raniony. W głębi pod otworami na oczy błyszczała wyszyta złotym szychem litera „Z".

Ludzie Paulin Broqueta spojrzeli po sobie, potem podnieśli wzrok na swego szefa, który z uśmiechem na ustach badał ciągle maskę. Wreszcie rzekł:

— Każdy inny na miejscu Zigomara byłby zabity.

ROZDZIAŁ LIV.

Po raz pierwszy Paulin Broquet wymówił imię bandyty, z którego bandą on i jego ludzie stoczyli zawziętą, straszliwą walkę. Paulin Broquet trzymał w ręku maskę samego Zigomara, maskę zakrwawioną, świadczącą o porażce bandyty. Prócz tego unicestwił zamach na papiery, wiezione przez Simoneta i pochwycił dwu bandytów. Detektyw mógł więc być zadowolonym. Wziął maskę pod pachę i rzekł:

— Chodźmy, jeszcze z nim nie skończyliśmy. Sidi, który nadbiegł przed chwilą, wtrącił:

— Nie trzeba go szukać daleko.

— O! o! co chcesz przez to powiedzieć, Sidi?

— Przez całą drogę z Paryża jechałem za wielkim automobilem. Zatrzymałem się w miejscu, które mi pan wskazał, panie szefie. Kiedy pociąg przeszedł i nikt z niego nie dał mi sygnału, pomyślałem, że wszystko jest w porządku i ruszyłem dalej. Z tamtej strony tunelu zobaczyłem automobil, schowany w załamaniu wzgórza. Nikogo w nim nie było.

— Nikogo?

— Nikogo... Na wszelki wypadek zagasiłem światła i podjechałem ostrożnie do tego tajemniczego automobilu. Ciałem popsuć pneumatyki, ale nie udało mi się. Więc przedziurawiłem w kilku miej-

scach rezerwoar z benzyną. Nie będą mogli daleko ujechać.

— Doskonale.

— Dlatego też mówię, że nie trzeba ich daleko szukać.

W kilka chwil później Paulin Broquet i jego pomocnicy wsiadali do automobilu.

— Proszę się mieć na baczności, panie szefie, mam zamiar ich dopędzić — rzekł Sidi.

— Dobrze — odparł z uśmiechem Paulin Broquet, tylko uważaj, żebyś nas przytem nie pozabijał.

— O, panie szefie, ostrożność jest moją matką!

Chcąc tego dowieść, Sidi ruszył z miejsca całą siłą motoru. Rozpoczęła się szalona jazda. Sidi pochylony nad kierownicą, jak dżokej na koniu, zdawał się chcieć pożerać drogę. Rozmawiał z motorem, zachęcał go do wytrwania, zaklinał go, by wytężył wszystkie swe siły. Obok niego siedział L'Amorce, oszołomiony nieco szalonym pędem, ale panujący nad nerwami i patrzący bacznie przed siebie.

Nagle Sidi wydał radosny okrzyk:

— Oto oni!

Rzeczywiście w oddali widać było słabe światełko. Był to automobil, który pędził tą samą drogą bez latarni. Tylko na przodzie przy siedzeniu szofera błyszczało ledwie widoczne światełko. Sidi nie posiadał się z radości i gorąco począł przemawiać do motoru.

— Smiało, mój mały! Ruszaj się! Całą siłą! Całą siłą! Smiało!

Nagle Sidi przestał się śmiać.

— Cóż to znowu? Hę? Słabniesz? Jesteś zmęczony? Co to ma znaczyć?

L'Amorce, także dobry mechanik, zauważył również, że motor działa gorzej.

— Nie żądaj od niego za wiele! — rzekł do towarzysza.

— Za wiele! — oburzył się Sidi. — Nigdy się od niego nie żąda dosyć!

Motor tymczasem funkcyonował coraz gorzej. Sidi pienił się, klął, ryczał w furyi, ale manipulował tak umiejętnie, że pomimo wszystko automobil wciąż pędził naprzód i zbliżał się do ściganych.

— Za kilkanaście minut dogonimy ich!

Paulin Broquet i Gabryel, wychyleni przez okna, wyglądali na drogę, zaciekawieni, niespokojni. Automobil pędził teraz po drodze wiodącej z Rosny do dworca kolejowego w Mautes... Widać już było zabudowania przedmieścia.

— Będą tam przed nami! — rzekł Sidi — i począł sypać najstraszliwszemi przekleństwami. Ale motor działał coraz słabiej. Scigany automobil także zdawał się pędzić wolniej, ale biegł dosyć równomiernie. Sidi, wytężając całą swą umiejętność i zręczność, zdołał zbliżyć się do ściganych, tak, że był już tylko odległy od nich o kilkanaście metrów. Ale nagle motor wybuchnął gwałtownie kilka razy i przestał działać. Automobil przebiegł rozpędem kilkadziesiąt metrów i zatrzymał się. Sidi zeskoczył na ziemię, rzucił czapkę, podeptał ją nogami, płacząc ze wściekłości.

— Panie szefie! To nie moja wina! Robiłem co mogłem!

— Uspokój się mój chłopcze! — odparł detektyw, wyskakując również z wozu. — Ani ty, ani twój motor nie jesteście winni. Podziurawiłeś im rezerwoar, ale widocznie mają oni duży zapas benzyny i to ich uratowało.

— Rzeczywiście, panie szefie — nie pomyślałem o tem. Na drugi raz znajdę jakiś lepszy sposób popsucia maszyny.

— Taki, jaki oni znaleźli dla twego motoru.

— Jakto, panie szefie?

— No, tak, mój chłopcze — podczas gdy ty dziurawiłeś im rezerwoar, oni zmajstrowali coś przy twoim motorze.

Sidi osłupiał. Teraz dopiero zaczynał wszystko rozumieć. Patrzał na motor, skrobiąc się w głowę. Potem, nie namyślając się długo, przystąpił do badania.

Paulin Broquet wyjął zegarek.

— Za pół godziny odchodzi pociąg do Paryża. Chodźmy.

Sidi przez resztę nocy zajęty był badaniem motoru, który rozebrał na części. Rano wytransportował zepsuty automobil koleją i sam wrócił do Paryża pociągiem. Zgnębiony, stawił się u Paulin Broqueta.

— Panie szefie — rzekł — automobil jest w warsztatach. Wie pan, co oni zrobili?. Oto wrzucili poprostu garść drobnego śrutu do motoru. To im zajęło bardzo mało czasu, a skutek był pewny.

Paulin Broquet roześmiał się.

— Widzisz, mój chłopcze, nauczyłeś się dobrego sposobu popsucia maszyny.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Zadanie konikowe.

Ułożył S. Ramza, Wieliczka.

Zgłoski połączone ze sobą nigdy nie krzyżującemi się posunięciami króla, podadzą kilka zdarzeń z ubiegłego tygodnia

wa	ro	ryą	a	cią	a	ser	bią
nia	ko	ga	boł	tur	dzy	ą	al
po	jo	we	w	ni	mię	stry	bań
ko	kon	ku	to	bro	nie	su	czy
sul	ka	zna	iszł	wie	sze	dy	cy
pro	łas	się	za	ków	mę	pro	wa
resz	na	prę	sto	sun	kla	mo	li
cie	na	że	nie	słość	wi	za	nie

Trójkąt magiczny.

Ułożył Jan Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. Pierwszy rząd pionowy i poziomy podadzą nam nazwę polskiego poety.

□ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Znany małż morski. 3. Miejsce obronne. 4. Pierwiastek. 5. Tytuł turecki. 6 Minerał, bez którego się obejść nie możemy. 7. Przyimek. 8 Samogłoska.

Szarada.

Ułożył W. K. Radomyśl Wielki.

Pierwszą-czwartą znajdziesz w łóżku,
Jak przeszukasz wszędzie,
Zato znowu *czwarta-pierwsza*
Gdzieś na strychu będzie.

Czwarta-czwarta, mówią dzieci,
Druga-druga, także,
Całość, znana to jarzyna,
Dobra jest!... A jakże!

Łamigłówka.

Ułożył M. Bański, Liszki.

Uzupełnić podane wyrazy. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, da rozwiązanie, którego już w najbliższych czasach oczekujemy.

E — a
s — n
— ar
— ra
be —
ra —
o — o
r — n
— ak
— os
w — z
le —
be —
— ra
— ła
mi —
kt —
o — a
s — n

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
Kómie! Każ żonie, by nie była tak zła na Łókaszka.

Trójkąt magiczny.

Ułożył Jan Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzą nazwisko współczesnego polskiego komedyopisarza.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1 Szukany wyraz. 2. Inaczej pouczenie. 3 Szalbierz, oszust. 4 Więzień, znajdujący się w śledztwie. 5. Samolub 6 Miesiąc. 7. Nauka obyczajów. 8 Okres czasu. 9 Rzeka. 10 Przyimek 11 Samogłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć polskie przysłowie:
Schował lina, e, e, i, u.

Zadanie przysłowiowe.

Ułożył J. Szymanek, Nowy Sącz.

Do podanych samogłosek dodać odpowiednie spółgłeski, aby powstały dwa znane polskie przysłowia:

1) a a a a a a a a a a!
2) a a o a e!

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *H. Malot:* **Siostrzyczka.** Powieść. 2 tomy.